

WYGRYWASZ NA LOTERII OGROMNE PIENIĄDZE. STAĆ CIĘ NA WSZYSTKO. Z WYJĄTKIEM BEZTROSKI.

ARKAGAS

π

NAD WSZYSTKIE
MOCARZE ŚWIATA



MARCIN T.P. ŁUCZYŃSKI

Poncki Piłat wydaje rozkaz, by brama Shushan,
jedyne dostępne przejście prowadzące
ze wzgórza świątynnego na Górę Oliwną,
została tuż przed nocą paschalną zamknięta.

Biuro. Kiosk. Przystanek autobusowy.
Trzy zwyczajne miejsca. Trzy obce sobie
osoby. Trzy przedziwne zjawiska.

Jeden Kraków. Jeden osobliwy plan.
Jeden więzień w purpurowym płaszczu.
Bezlik pytań i wątpliwości w przebudzonym
mieście.

Książka dla czytelników, którzy po lekturze
„Kodu Leonarda da Vinci”, „Mistrza i Małgorzaty”
i „Spisku sykstyńskiego” dochodzą do wniosku,
że jeszcze czegoś im w tej kolekcji brak
do pełni szczęścia.



Arkagas

Tom 1

Nad wszystkie mocarze
świata

MARCIN T. P. ŁUCZYŃSKI

Redakcja: Ewa Białołęcka

Ilustracja okładkowa: Katarzyna Borkowska

Copyright © Marcin T. P. Łuczyński, 2021

ISBN: 978-83-960852-1-4

Wydanie 1

It's Ockham's Razor. The problem, Bernad, is that what you and I do is... complicated. We practice witchcraft. We speak the right words and we create life itself out of chaos. William of Ockham was a thirteenth's century monk. He can't help us now, Bernard. He would have us burned at the stake.

Westworld

Mojej żonie Marii. Za wszystko, co tylko

Człowieka można zdradzić i wydać wrogom na dwa sposoby: tak, żeby się dowiedział, kto go wsypał, albo tak, żeby się tego nie dowiedział. Albo rybki, albo akwarium.

Jeżeli jest ci najzupełniej obojętne, czy osoba zdradzona będzie wiedzieć, iż podeptałeś jej zaufanie, albo z jakiegoś powodu wręcz zależy ci na tym, żeby to wiedziała, bierzesz duży oddział zakapiorów z pochodniami, mieczami i włóczniami w dłoniach, idziesz na jego czele na Wzgórze Oliwne, odszukujesz kogo trzeba, stajesz przed nim, wyciągasz ramię i wskazujesz go palcem, mówiąc twardo i krótko: to on. Tak to się odbywa, gdy jawnie, bez maski na twarzy kroczysz na czele uzbrojonej grupy.

Nie ma wtedy żadnego sensu pieprzyć się w konspirację.

Jeżeli chcesz dokonać zdrady tak, żeby nikt się nie dowiedział o twoim udziale, bierzesz grupę karków, wysyłasz ich przodem, każesz im wmieszać się w tłum pielgrzymów i kupców koczujących na zboczu góry, i polecasz, by uważnie cię obserwowali, gdy wkrótce potem się tam zjawisz, przywitasz się ze wszystkimi obecnymi, a wystawianego im mężczyznę ze szczególnym szacunkiem ucałujesz w policzek. Nakazujesz, żeby dobrze się mu przyjrzeni, zapamiętali, jak wygląda, i w odpowiednim momencie wzięli go za fraki, ale tak z kwadrans czy dwa później, żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń, że to ty go wskazałeś.

Każdy z tych wariantów z osobna ma sens. Gdy je pomieszać i spleść w jakąś przedziwną hybrydę, powstaje opowieść obrażająca ludzką inteligencję.

Wystarczy przechylić głowę, by dostrzec, jak źle jest wymyślona.

Kto ma oczy, niechaj patrzy. Niektórzy, bodaj raz dostrzegłszy pozostawione fastrygi i prymitywnie zawężłone supły, już nigdy nie zaznają spokoju.

Miejsce zerowe

[1] Bravado

Jest wcześnie rano. Nie ma co gdybać, czy piąta trzydzieści, czy raczej szósta piętnaście. Może dziesięć minut później, może kwadrans wcześniej. Domniemana lokalizacja to osiedla na południu Krakowa, po zachodniej stronie miasta, bądź miejscowości położone za autostradową obwodnicą. Nie wiadomo dokładnie, więc można założyć, że opel insignia wypada, dajmy na to, z osiedla na Klinach. Na budziku ma z siedem, osiem dych, na zakrętach schodzi grzecznie do dozwolonej w zabudowanym pięćdziesiątki, do sety zaś porywa się na prostszych i zupełnie pustych odcinkach. Pokonuje ulicę Zawiałą, mknąc w kierunku Zakopiańskiej. Mija lasek, niewielki cmentarz, przelatuje pomiędzy domami jednorodzinnymi.

Wtedy zwalnia, bo trafia na pierwsze spiętrzenie ruchu. Turla się do skrzyżowania na półsprzęgle, na światłach zajmuje pas do lewoskrętu i gdy rozbłyśka zielone, wbija się na jedną z najważniejszych krakowskich czteropasmówek. Robi się luźniej, więc kierowca dociska gaz i auto zasuwa szaleńczo lewym pasem. Natężenie ruchu o tej porze ciągle jeszcze pozwala na dość energiczną jazdę i w miarę swobodne, płynne wykonywanie przeskoków z jednego pasa na drugi. Taka hosanna nie potrwa długo. Miasto o tej porze już się rozbudza, drapie po jajach i wędruje do łazienki. A że leży nad rzeką i ma daleko mniej mostów niż ulic – musi się zatykać.

Po wszystkim kierowca zda relację policji, a ja krótkie streszczenie przeczytam w sieci, całą resztę dośpiewując sobie i zmyślając.

Śpieszy się. Niecierpliwie lata między jednym pasem a drugim, jak świnia z kłocem. Czasem wcina się komuś tuż przed maskę, stosując szereg drobnych wymuszeń. Pewnie zawsze po czymś takim grzecznie dziękuje paroma mrugnięciami awaryjnych świateł. Kierująca autem kobieta na pewno się nie rozgląda. Co prawda na pamięć widoków znać nie może, bo kierowca skupiony na ruchu ulicznym nie rejestruje całej masy rzeczy, więc potem niejedno go dziwi, gdy się wreszcie może przyjrzeć idąc pieszo bądź podróżując komunikacją miejską, tym niemniej samą jazdę odbębnia tą trasą co najmniej dwa razy dziennie przez pięć dni w tygodniu, więc jej zachowanie jest przesiąknięte rutyną. Gdy się w dużym mieście znajdzie optymalną trasę, szybkość przemieszczania się zawsze wygra z potrzebą odmiany. Utraconego czasu nie sposób zatankować na żadnej stacji, więc

liczy się tylko on, wszystko inne to nieistotne duperele. Kobieta chce jak najszybciej minąć skrzyżowanie Zakopianki z ulicami Brożka i Tischnera, i już Wadowicką pognać w kierunku Ronda Matecznego.

Dociera do świateł i zatrzymuje się tuż za, dajmy na to, granatowym suzuki.

Czeka jak rajdowiec. Jedynka wbita, sprzęgło wyciśnięte, pełna gotowość do natychmiastowego skoku. Siedzi niecierpliwie, prawym kciukiem przerzucając jedną stację radiową za drugą, bo albo reklamy, albo polityczne pyskówki, albo takie świetne dowcipy prowadzących, że z uszu krew gotowa pójść, albo muzyka taka, że tylko rzygać. Na podorędziu ma kubek z kawą, więc regularnie ładuje w siebie ciepłą kofeinę. Jest skupiona. W czasie jazdy myśli o jeździe. W czasie postojów o nadchodzącej pracy.

W końcu pojawia się zielone, suzuki, czy co to tam wtedy było, rusza sprzed jej maski, więc kobieta dociska gaz do dechy. Kątem oka dostrzega, że z prawej, ulicą Tischnera, dojeżdża do skrzyżowania ciężarówka.

Później powiedziała policji, że zupełnie nie wie, jak to się stało.

Wierzę. W ruchu ulicznym czasami się dzieją takie dziwne rzeczy. To tutaj olbrzymie bydlę jedzie dość szybko – zbyt szybko w każdym razie, no ale przyganiał kocioł garnkowi. Ulica Tischnera o tej porze powinna być zapchana równie mocno, jak pozostałe – i jest. Tyle że jakieś dwieście metrów od skrzyżowania, gdyż stoi tam unieruchomione przez awarię auto. Kierunkowskazy mrugają, maska podniesiona. Klasyk. Dwa rzędy aut muszą się w tym miejscu przeciskać przez jeden pas, metodą na zamek

błyskawiczny. Prawo Bernoulliego jest nieubłagane, więc jak w każdym naczyniu z przewężeniem to, co przez nie przelatuje, ma wyższe ciśnienie. Kierowcy dostają białej gorączki z powodu przymusowego postępu i ślimaczego tempa. Właściwie każdy, kto się wreszcie przez to przewężenie przedrze w momencie, kiedy na horyzoncie widzi zielone, goni do skrzyżowania na łeb, na szyję. Kierowcy trąbią, dymią, rzucają mięsem, ale i tak lwia część pary uchodzi z nich przez prawą stopę cisnącą pedał gazu, gdy już w końcu można.

Kierowca ciężarówki też tak robi. Chce się załapać na „zieloną strzałkę”. To zawsze jest wyścig, bo automaty sterujące sygnalizacją tuż przed zmianą głównych świateł na zielone gaszą strzałkę warunkowego skrętu w prawo, i na dwie, trzy sekundy znowu wraca czerwone. Toteż kierowcy

zapobiegliwie gnają. Niejeden, wiedząc, że zaraz i tak będzie normalne zielone, nie zatrzymuje się, by być na tip-top z przepisami. Jazda w dużym mieście nie jest po prostu przemieszczaniem się ulicami z punktu A do punktu B. Jest grą strategiczną, wymagającą rozumnego łamania reguł.

Who dares wins.

Kobieta, można założyć, trzyma kierownicę zawodowo, obie dłonie ma lekko zaciśnięte, rozstawione w pozycji "za dziesięć druga". Mimo licznych nierówności rozjeżdżonego asfaltu opel idzie przed siebie jak czołg. Ona wie, że ciężarówka i tak musi się zatrzymać, by ustąpić jej pierwszeństwa.

Kierowca ciężarówki trzyma wielką kierownicę dość niedbale, samochód jest ciężki, więc ciśnie mocno gaz, żeby go stosownie rozpędzić. Wie, że co

prawda ci z lewej dostaną zaraz zielone albo może już je dostali, ale tam siedzą prawie na pewno nieogary, rozmaite powolne pierdy, które dopiero na zielonym wrzucają bieg i zaczynają jeden po drugim opuszczać skrzyżowanie, każdy tak wolno, jakby czekał na specjalne, drukowane na kredowym papierze zaproszenie. Kilka cennych sekund zawsze na tym tracą. Tych kilka sekund zwykle wystarcza. Czasem trzeba je połączyć z drobnym wymuszeniem, ale tak czy siak, zawsze się udaje. Nikt w osobówce nie chce podskoczyć wielkiej, ciężkiej, rozpędzonej kupie stali.

Nie tym razem.

Opel obrywa bardzo mocno i traci przyczepność. Na moment prawy bok auta unosi się nieznacznie, a tył zaczyna uciekać w lewo, pod wpływem uderzenia wymierzonego twardym, masywnym zderzakiem ciężarówki w prawy bok bagażnika. Niewiele brakuje,

by opel uciekł spod tej mocarnej pięści, dosłownie centymetry – i przez to właśnie auto nie zostaje odrzucone w całości na lewo, jak przez spychacz, lecz wprowadzone w ruch rotacyjny.

Zaraz potem rozpoczyna się piekielnie trudny do wygrania wyścig, gdy rzeczy dzieją się na tyle szybko, że mózg nie nadąża ze świadomymi reakcjami, a decydują wyłącznie odruchy, działania tyleż automatyczne, co chaotyczne – i łut szczęścia. Kontrowanie kierownicą raz w lewo, raz w prawo, dość bezładne co prawda, wystarcza jednak, by auto ponownie opadło na cztery koła.

No ale kierownica to nie wszystko.

Liczy się również to, co pod nią. To, że ciśnie gaz do dechy, dociera do kobiety odrobinę za późno. Jeśli się szaleńczo obraca kierownicą, nie sposób się o

nią jednocześnie zaprzeć, by ustabilizować rzucane siłą bezwładności ciało. Dlatego zupełnie bezwiednie kobieta zapiera się prawą nogą o pedał gazu.

Zrozumienie, co to oznacza, przychodzi o ułamek sekundy za późno. Auto nie przestaje robić kołami, więc opadłszy z powrotem na asfalt i odzyskawszy przyczepność, skacze do przodu jak dobrze odkarmiony rumak dźgnięty w dupę czymś ostrym. Kierowca co prawda zwalnia nieszczęsny pedał gazu o mgnienie oczu później, ale już na zareagowanie hamulcem nie wystarcza czasu. Samochód idzie jak po napiętym sznurku i wjeżdża w przystanek. Centralnie, niczym kierowany laserem pocisk. Z hukiem, piskiem, trzaskiem i łomotem.

Prosto w ławeczkę i siedzącego na niej starszego pana.

*

Zdejm sandały z nóg, gdyż miejsce, na którym stoisz, jest ziemią świętą¹.

Odwiedziłem to miejsce kilka dni później, nocą. Przybyłem tam z duszą na ramieniu. Spodziewałem się dotknąć sekretu, który osiadł wokół jak szadź. Niemalże oczekiwałem, że będzie mi skrzypiał pod butami.

Przyjrzałem się dokładnie przystankowi. Wiata wtedy ciągle jeszcze nie została naprawiona. Była powyginana, potłuczone szyby uprzątnięto, usunięto szkło, odłamki plastiku i drewna, ale reszta konstrukcji niezmiennie przedstawiała dość żalosny widok. Po ławce zostały tylko drewniane kikuty. Wiedziałem, że rekonstrukcja zajmie kilka dni.

¹ Biblia Tysiąclecia

Sprawdziłem to nawet z czystej ciekawości. Miasto rocznie wydaje około dwóch milionów złotych na rozmaite remonty i naprawy bezbronnych, nagminnie demolowanych przystankowych wiat. Postawienie nowej kosztuje jakieś dwadzieścia tysięcy papierów. Usuwanie zniszczeń to następne fundusze, bywa że niemałe, gdy ktoś wiatę spali. Każda musi poczekać na swoją kolej. Naskórek miasta się goi z pewną inercją.

To przesądziło mój los, jak sędzę.

*

Świat blaknie. Przed oczami kobiety robi się ciemno. W ustach czuje gorzki posmak adrenaliny. Szok na chwilę spowalnia działanie, odcina sygnały. Wszystko nieruchomieje. Silnik gaśnie, spod maski zaczyna się unosić intensywny, biały dym. W

okolicach chłodnicy coś cicho syczy. W uszach kobiety dudni krew, jej palce nadal zaciskają się na kierownicy, opuszki świecą bielą. Przerażony wzrok ma wbity w twarz mężczyzny. W jego szeroko rozwarte oczy, w usta raz po raz to rozchylane, jakby chciał coś powiedzieć, to zamykane, jakby nie istniały stosowne słowa.

Kobieta nie czuje nic, niczego nie słyszy. Może dudnienie w skroniach, może nie. Cholera wie. Jakiś czas później nie będzie umiała mi tego dobrze opowiedzieć, została jej w pamięci luźna sekwencja obrazów. Patrzy w oczy człowieka, którego wgniotła przodem auta w tylną ścianę przystanku, przy okazji druzgocąc wszystko wokół niego. Szyby gablot, poddane mocnym naprężeniom w momencie uderzenia, popękały i skruszyły się na drobnutkie kawałeczki. Kosz na śmieci został kompletnie

zmiażdżony. Cała konstrukcja przystankowej wiaty odchyliła się do tyłu. Nie projektowano jej, by wytrzymała napór kilkuset kilogramów w porywach do ponad tony rozpędzonej stali.

Kobieta dostrzega każdy detal twarzy mężczyzny, każdą zmarszczkę i siwy włos. Widzi drżenie podbródka, grdykę wędrującą w dół i w górę, w rytm przełykanej z przerażenia śliny. Krople potu, uwolnione przez pory skóry na skroniach, ślimaczące się w dół, ku brodzie. Powoli, bardzo powoli dociera do niej, że on tam nadal stoi. Nie upada. Nie osuwa się bezwładnie jak kukielka, której ktoś odciął sznurki. Nie wrzeszczy. Nie miota się z bólu. Nie pluje krwią. Nie drapie konwulsyjnie maski.

Stoi.

Kobieta wysiada z auta. Ruchy ma nienaturalnie sztywne. Całe ciało pozostaje spięte, gotowe do ucieczki z miejsca zagrożenia. Wykaraskawszy się zza kierownicy robi dwa kroki. Potem jeszcze jeden. Zamiera w bezruchu, wbijając spojrzenie w przód auta.

Gdy w niego wjechała, mężczyzna zdążył wstać, jakby na powitanie gościa, ale nie zrobił niczego więcej. Nie udało mu się postąpić w lewo czy w prawo ani nawet unieść przed siebie rąk w tym absurdalnym geście, który nijak by go nie ochronił ani nie zatrzymał rozpędzonego samochodu. Ot, starszy pan, co to się prostuje, jak na dźwięk dzwonka rozpoczynającego mszę, i wtedy rozpędzone auto uderza prosto w ławkę. Oraz w jego uda, kolana i podudzia. We wszystko, co znajduje się na wysokości masywnego, taranującego przodu.

Kobieta opiera się ciężko o lewy błotnik. Blacha jest pogięta i pomarszczona. Patrzy to na twarz mężczyzny, to na jego nogi, to na przód auta. Mruga, raz, drugi, trzeci, ale to, co właśnie widzi, za nic w świecie nie chce zniknąć. To nie iluzja.

Jeszcze długo stali tak oboje, jak dwa słupy soli. Podobno rozmawiali, ale w roztargnieniu i bez sensu. Nic panu nie jest? Nie. Niech się pan nie rusza, dobrze? Nic panu nie jest? Nie. Chyba nie. Czy gdzieś pana boli? Nie. Jezus Maria, co się stało? Spokojnie. Ja nie chciałam. Ja naprawdę nie chciałam. Nic pana nie boli? Nic. To może być szok. Może. A pani? Ja się czuję w porządku. Rany boskie, co tu się stało? Przepraszam, niech się pan nie rusza. Nic panu nie jest?

Tak zastała ich policja, któryś z patroli będących akurat w pobliżu. Pograżonych w stuporze i

mówiących bez sensu. Oględziny wykazały, że zderzak, plastikowy grill osłaniający wlot chłodnicy i frontowa część maski samochodu owinięły się wokół goleni, kolan i ud mężczyzny. Idealnie. Zupełnie jakby nie chodziło o uderzenie ciała blachą i tworzywami sztucznymi, lecz o wykonanie odlewu czymś ciekłym. Nie znaleziono ani śladu krwi. Po tym, jak już wezwani do wypadku strażacy odciągnęli auto, uwalniając mężczyznę, a lekarz go zbadał i wykonał prześwietlenie rentgenowskie, nie odnaleziono ani jednego złamania kości, ani bodaj otarcia skóry. Niczego.

Nogi mężczyzny pozostały absolutnie nienaruszone.

*

Wyjąłem telefon i próbując opanować lekkie drżenie dłoni zacząłem robić zdjęcia.

Gdy ten obłądny wypadek się wydarzył, pracowałem w kiosku tuż przy pętli tramwajowej zlokalizowanej naprzeciwko feralnego przystanku. Znajdowałem się wtedy kilkadziesiąt metrów stąd, schowany przed całym światem. Mogłem bez trudu wyjść na zewnątrz i przynajmniej z oddali popatrzeć na to, co się stało. W normalnych okolicznościach, wiedziony ciekawością, zapewne tak właśnie bym postąpił.

Byłem jednak niezdolny do jakiegokolwiek działania.

Uwaga człowieka bywa co prawda podzielna i potrafimy robić kilka rzeczy jednocześnie, ale dotyczy to raczej czynności rutynowych. Kiedy w krótkich

odstępach czasu dzieją się grube dziwactwa, dajemy radę skupić się na jednym z nich, pozostałe zaledwie rejestrując. Coś trzeba wybrać.

O poranku, parę minut wcześniej nim doszło do wypadku, siedziałem wygodnie rozparty w kiosku i spodziewałem się dnia identycznego jak poprzednie. Sporadycznie sprzedawałem przez okienko pierdoły, które teraz dystrybuuje się w kioskach: bilety tramwajowe, gazety, chusteczki higieniczne, karty telefoniczne, fajki, baterie, wodę mineralną, gumy do żucia, słodkości, krzyżówki, wybrane książki. Najrozmaitszy szajs. Wkrótce ruch zmaleł praktycznie do zera. Kioski takie jak mój, zlokalizowane przy kluczowym punkcie przesiadkowym w tej dzielnicy, pracują w rytmie narzucanym przez przyrost użytkowników komunikacji zbiorowej. Największy ruch odnotowujemy między szóstą rano a jedenastą, a

potem od piętnastej do plus–minus siedemnastej, osiemnastej. Podawałem towary, wydawałem resztę, grzecznie żegnałem jednych klientów, witałem następnych, tak mechanicznie i bezrefleksyjnie, jak doświadczony kierowca zmienia biegi i wrzuca kierunkowskazy. W myślach planowałem wieczorne posiedzenie w moim drugim domu, gdzie bez trudu mógłbym nocować, gdyby mi tylko pozwolono – w czytelni wojewódzkiej biblioteki przy ulicy Rajskiej. Potem zamierzyłem sobie długi powrót spacerem aż pod Jubilat, a może nawet do Ronda Grunwaldzkiego. Nigdy nie potrzebowałem się do tego zmuszać. Wystarczy pomieszkać ze dwa, trzy miesiące na sześciu metrach kwadratowych, mając dla siebie łóżko i mały regał w pokoju dzielonym z dwoma sublokatorami, ustawiać się w kolejce do łazienki, w lodówce mieć dla siebie jedną półkę, a w pracy

siedzieć codziennie na dwóch metrach kwadratowych w żelaznej puszce – a będzie się szaleć na każdej rozległej przestrzeni. Często, gdy idę chodnikiem, rozkładam szeroko ramiona, jakbym kroczył przez pole dojrzałej pszenicy, która przepięknie wzeszła na powierzchni zdolnej pomieścić kilka kombajnów naraz.

Tej twarzy chyba nigdy nie zapomnę.

Całokształt robił trudne do wyparcia z pamięci wrażenie. Jego twarz, czarne jak węgiel oczy, nietuzinkowy tembr głosu. Zadał pytanie o możliwość zakupienia u mnie losu na loterię, uzupełniając je uwagą, że podobno szykuje się kumulacja. Gdy po paru sekundach udało mi się pokonać zdumienie wywołane jego wyglądem, wyjaśniłem uprzejmie, że losy Lotto rozprawdza się w kolekturach, najbliższa

jest chyba w Tesco przy Kapelance, ale ja takowej nie prowadzę.

Zamiast podziękować za informację i sobie pójść, zapytał mnie, czy sam grywam. Zaprzeczyłem. Miałem już przygotowaną odpowiedź na pytanie „dlaczego nie?”, bo niejeden raz rozmawiałem na ten temat, ale nie zapytał. Niczego już nie powiedział. Nie uśmiechnął się. Nie podziękował ani się nie pożegnał. Po prostu na mnie patrzył przez kilka dłużących się sekund.

Zanim zdążyłem wydukać pytanie, czy mogę mu czymś jeszcze służyć, wsadził w okienko ramię, położył na gazetach niewielki kartonik, po czym odszedł.

Sięgnąłem po ten papierek zupełnie machinalnie – i zamarłem. Tysiące razy w przeszłości

zastanawiałem się, co czuły rozmaite historyczne postacie w tych magicznych, wnikliwie studiowanych po upływie stuleci momentach, gdy Podejmowały Decyzję. Gdy stawały się świadkami bądź uczestnikami czegoś przełomowego, ocierając się o ten niezwykle element tkanki wszechświata jak policzkiem o nieć babiego lata. Teraz już się tego domyślam.

Musieli się czuć tak, jak ja właśnie wtedy w tym małym kiosku, wśród zapachu świeżo zadrukowanego papieru.

Siedziałem na moim krześle niczym słup soli, trzymając w palcach karteczkę i doznając przedziwnej jasności myślenia. To była całkowicie niepojęta dla mnie łatwość osiągnięcia stuprocentowej, niczym niezachwianej pewności. Jakbym nagle, wbrew wszelkim prawom natury był zdolny dokonywać

pomiarów z zerowym błędem. Jakbym mógł bez zginania karku przejść przez Ucho Igielne. Jakbym pośród egipskich ciemności jako jedyny miał noktowizor na oczach.

Zajrzałem pod blachę karoserii i na mgnienie oka dostrzegłem maszynę świata nawet nie rozumiejąc, na co patrzę.

Tkwiłem za szybą kiosku nieco otępiały, gapiąc się w zapisane w równym rzędzie liczby jak sroka w gnat, gdy rozległ się głuchy łomot, posłyszałem okrzyki ludzi, a ktoś stojący w pobliżu zawołał, że jakieś auto wjechało w przystanek. Odnótowałem to wszystko mimowolnie – i tyle.

Nie wierzę w działanie amuletów. Niczym się nie obwieszam. Nie mam szczęśliwej koszulki albo skitranej gdzieś w rogu portfela złotówki na

rozmnożenie. Ale nie rozstaję się z tym kartonikiem od Momentu, od tamtego jasnego punktu w czasie, w którym z niewytłumaczalną determinacją postanowiłem tym razem postąpić wbrew typowym dla mnie odruchom, zaniechać pogardliwych parsknięć i pełnych wyższości cmoknięć książkowego mola, który o wszystkim już czytał, wszystko wie i nikt go nie przekona, że uczestnictwo w loterii warte jest jakichkolwiek pieniędzy. Wbrew szacunkom i szansom.

Miałem tę karteczkę w notesie schowanym w kieszeni spodni także dużo później, gdy przymierzałem się do wykonania zdjęć zniszczonego przystanku, wspominając po raz n plus pierwszy tamten dziwny dzień.

Czas do końca swojej zmiany przetrwałem z niecierpliwością, jakiej chyba jeszcze nigdy w życiu

nie zaznałem. Nie chodziło o to, że zamierzałem zrobić użytek z widniejących na kartce numerów ot tak, na pałę się przekonać, co z tego będzie. Czułem osobliwą gorączkę, ponieważ już wtedy wiedziałem, że trafię. Nie „czułem”, nie „domyślałem się”, nie „przewidywałem”. Wiedziałem. Ta żelazna, nieludzka pewność była na swój sposób przerażająca. Nie iluzoryczna i ledwie uchwytna, lecz wyraźna i trwała niczym powidok po dłuższym patrzeniu na coś bardzo jasnego. Gdy osiągnąłem punkt maksimum mojego emocjonalnego rozdygotania, gdy zacząłem myśleć, że dłużej nie wytrzymam tego wrzenia i zwyczajnie przekręcę się z emocji – faraon zgodził się wypuścić lud Izraela.

Nadszedł fajrant.

Zostawiłem kiosk pod opieką zmienniczki i pomaszerowałem na pętlę łagiewnicką tuż obok.

Żaden tramwaj się nie zjawił o tej porze, więc energicznie ruszyłem chodnikiem wzdłuż ulicy Brożka, w kierunku hipermarketu przy Kapelance. Parłem jak lodołamacz. Czerwone światła ignorowałem. Jeśli nic nie jechało, kroczyłem bez zatrzymania. Jeśli jechało – biegłem jak Forest Gump.

Na ruchome schody Tesco wpadłem zmachany i spocony. Kilkanaście sekund, jakie zajęła mi jazda, spędziłem na uspokajaniu oddechu i próbach okiełznania emocji. Ruchoma metalowa taśma wypłuła mnie na piętrze i uciekła mi spod stóp. Długo stałem przed wejściem do kiosku z prasą, trzymając w kieszeni dłoń, w której ściskałem karteluszek. W końcu wszedłem, poprosiłem o kupon, z kieszeni kurtki wyjąłem sfatygowane pióro. Chwilę później ponownie stałem przed wejściem do kiosku, plecami do niego.

Dokonało się.

Następnego dnia nie śledziłem radia ani telewizji w gorączkowym poszukiwaniu właściwej audycji. Nie sprawdzałem niczego w sieci. Wiedziałem, kiedy zostaną ogłoszone wyniki losowania, ale nie potrzebowałem się z nimi zapoznawać. Serce miałem lekkie.

Po prostu wiedziałem, że już jestem na szczycie świata.

Dwa dni później pojechałem na ulicę Olszańską, do Oddziału Totalizatora Sportowego. W kolekturach nie wypłaca się takich koszmarnie wielkich pieniędzy. W autobusie przez cały czas trzymałem mój kupon w ręku, a rękę w kieszeni. Wcześniej owinałem go w woreczek foliowy, bo wiedziałem, że będzie się pociła. Trzymałem go kurczowo, jak tonący brzytwę,

przerażony, że mogę ten niewielki papierek zgubić albo stracić w jakikolwiek inny sposób.

Ten przejazd tramwajem był jak szachy ze śmiercią u Bergmana.

Kiedy po sprawdzeniu mojego kuponu urzędnik uśmiechnął się szeroko, pogratulował mi wygranej i zaczął przedstawiać plan dalszych procedur, wykładając na biurku poszczególne papiery i objaśniając, czego dotyczą formularze, które muszę teraz wypełnić – prawie nic z tego nie słyszałem. Jakbym go oglądał w telewizorze, któremu siadła fonia. Co chwilę musiałem prosić, żeby powtórzył. Robił to uprzejmie i bez zająknięcia, co znaczyło, że wielokrotnie miał do czynienia z ludźmi oszołomionymi wygraną.

Uścili. Przelew przyszedł na mój osobisty rachunek. Znowu liczby, tym razem z wieloma zerami. Jeszcze nigdy nie widziałem na moim bankowym koncie tylu cyfr przed przecinkiem. I to bez minusa. Poczułem niesłychaną ulgę, jakby ktoś zdjął mi z ramion wagon węgla. Wyprowadziłem się bez żalu i bez łzawych pożegnań do samodzielnego, przestronnego apartamentu, kupiłem za gotówkę w komisie auto i nabyłem nowego laptopa. Pracę rzuciłem w diabły po prostu oznajmiając, że więcej się nie pojawię, co przy rotacji, jaka była w tej branży, chyba nikogo nie obeszło nawet na czubek paznokcia.

A potem przyszedł strach i nocne eskapady samochodem.

[2] Przystanek

Miasto nocą jest spektakularne. Po niemalże pustych ulicach nie tyle się jedzie, co płynie. Przekonałem się o tym już wielokrotnie, bo od dnia, kiedy w moim życiu dokonał się przewrót, niewiele śpiam. Wystarczają mi dwie krótkie drzemki, każda trwająca jakieś trzy godziny. W pierwszą zapadam o zmierzchu, by obudzić się wraz z nadejściem nocy. Drugą ucinam sobie, gdy nastaje brzask, zmęczony po całej nocy, i przerywam ją około dziewiątej. Omijam zgiełk dnia codziennego, te momenty wielkiego spiętrzenia życia, kiedy miasto tętni i pulsuje.

Tego samego dnia, kiedy się wyprowadziłem ze starego mieszkania, kupiłem naprędce samochód. Czarny mitsubishi lancer. Przez lata napatrzyłem się na przeróżne samochody. Mijały mnie, gdy

maszerowałem chodnikami napawając się wolną przestrzenią wokół. A czasem to ja je mijałem, gdy tkwiły nieruchome w korkach. Ten jeden konkretny sedan uznałem za idealny, dochodząc do wniosku, że nie ma obecnie na ulicach pojazdu, który miałby piękniejszą linię. Nie miało dla mnie znaczenia, że to wcale nie była najwyższa półka, jeśli chodzi o ceny czy standard wyposażenia wnętrza, bo akurat ten jest dość marny. Mnie wystarcza. Nie potrzebuję zbyt wiele.

Moje chęci nie dorównały jeszcze moim możliwościom.

Prawem jazdy dysponuję od osiemnastego roku życia, ale nie siedziałem za kółkiem od tak dawna, że już nie pamiętam, ile lat minęło. Uznałem, że trzeba zacząć spokojnie, łagodnie się rozruszać, a to najlepiej wyjdzie nocą, gdy miasto jest puste, nie ma korków,

kierowcy nie będą na mnie trąbić, a większość świateł na skrzyżowaniach mruga na żółto. Zrobiłem jeden taki kurs, potem drugi – i coś mi się w głowie przestawiło. Każdego poranka przed zaśnięciem oporządzam auto w myjni bezdotykowej, solidnie zlewam szyby wodą z woskiem i czyszczę deskę rozdzielczą z kurzu. Po drugim przebudzeniu tankuję auto pod korek, włączam leciutki zimny nawiew na twarz i zaczynam krążyć oświetlonymi ulicami. Układam miasto do snu, a potem bacznie je obserwuję.

Szukam piersi unoszącej się w oddechu.

Za dnia nie robię niczego konkretnego. Można spokojnie powiedzieć, że snuję się jak cień po mieście. Przysiadam w kawiarniach, żeby wypić wielki kubek kawy z karmelem, odwiedzam księgarnie, czytam przy którymś z licznych,

wystawionych na rynku stolikach. Zjadam rozmaite obiady, raz wykwintne w restauracjach, to znowu proste w barach czy pizzeriach. Potężna paleta rzeczy znalazła się w moim zasięgu praktycznie z dnia na dzień, więc trochę zajmie, zanim ustalę, co naprawdę lubię. Odwiedzam muzea, czasem by obejrzeć ekspozycję, czasem by po prostu posiedzieć w starych, olśniewająco pięknych wnętrzach. Odczuwam wszelkie możliwe zalety wielkiej wolności, jaka na mnie spadła, czy może raczej wybuchła mi w rękach. Odpoczywam od życia i staram się rozgryźć jeden dylemat, który nie daje mi spokoju.

Czuję się, jakbym bezustannie zahaczał nosem o pajęczą nić.

Dotyk nie kłamie, odczuwa się obecność przeszkody, ale nie sposób jej dostrzec. Mniej więcej

taki właśnie subtelny mechanizm nie pozwala mi na uczucie bez troski. Niepokój unosi się wokół mnie jak kurz w powietrzu. Jestem dorosły, trochę już poznałem ten świat, zmagalem się z nim w bardzo nierównym boju przez większość życia. Wiem, jak działają zębatki i bloczki, którymi jest opuszczany na scenę *deus ex machina*. Mam świadomość, że występują na nim rozmaite przypadki, zbiegi okoliczności, mniej lub bardziej brzemienne w skutki koincydencje. *Ale od cudów to był taki facet, co chodził boso po jeziorze.*²

Tyle to rozumiem nawet ja – człowiek znikąd.

Tak mniej więcej znalazłem się w miejscu, gdzie stało się COŚ. Kiedy minęła euforia spowodowana

² "Piłkarski poker"

moją wielką wygraną, gdy już przeszło oszołomienie skalą i spektrum możliwości, jakie dzięki niej stanęły przede mną otworem, gdy w końcu zacząłem odczuwać rozmaite dziwne, mgliste obawy, a bliżej nieokreślony niepokój zaczął mi trwale towarzyszyć każdego dnia, przypominałem sobie to, co moja pamięć na czas jakiś wyparła: że pojawienie się zwycięskich numerów dosłownie w zasięgu mojej ręki nie było jedynym osobliwym zdarzeniem tamtego dnia.

Przedpołudniami zacząłem bywać z laptopem na Rynku, by siedząc w kawiarni przy kawie i kanapkach oddawać się poszukiwaniom. Trwało to kilka dni. Grzebałem w portalach informacyjnych i – o zgrozo – plotkarskich, wlażyłem na fora dyskusyjne, przeczesywałem Twittera. Musiałem ocierać się o nieprzebrane ilości zapisów zupełnie mi obojętnych,

chłonać toksyczne dawki rzeczy idiotycznych ponad ludzką wytrzymałość, przebijać się przez gruby informacyjny szum.

W końcu uznałem, że nie zaszkodzi wizyta na miejscu.

Podczas moich nocnych przejażdżek mogłem zrobić sobie mały postój na przystanku, który przykuwał uwagę ludzi i był na wielu ustach. Planowałem po prostu się rozejrzeć, sprawdzić, jak to teraz wygląda, porobić parę zdjęć dla porządku, bo nie spodziewałem się tu zastać niczego niezwykłego. Niczego ponad to, co zostało już na rozmaite sposoby wyeksponowane w sieci. Zwyczajny, niepozorny autobusowy przystanek. Niebieskie rury wpuszczone w chodnik, jedna jakiś metr od drugiej. Prosta ławeczka z siedziskiem z trzech gładko oszlifowanych desek. Dwie duże szklane gabloty na reklamy i jedna

mniejsza, przeznaczona na ekspozycję rozkładów jazdy kilku linii. Do tego kosz na śmieci zamontowany na słupie z przodu. Nad głową lekko łukowaty daszek z pleksiglasu. Parafrazując klasyka: przystanek wypełniony dokładnie przystankowym sensem.

Oględziny miejsca zakończyłem gwałtownie, po niespełna trzydziestu sekundach, rozdygotany.

Zdażyłem zrobić w trakcie fotografowania dosłownie kilka kroków. To był jeden z tych przypadków, kiedy coś się dostrzega i natychmiast wiadomo, że właśnie tego się szukało. Trzymałem telefon, próbując mu zapewnić stabilność pozwalającą wykonać zdjęcia o odpowiedniej ostrości, powoli obchodziłem przystanek łukiem i w trakcie kadrowania gabloty zamontowanej od strony ulicy Wadowickiej, jedynej, której szyba przetrwała i była

niestłuczona, w cieniu rzucanym przez moją sylwetkę
zobaczyłem coś, co sprawiło, że mimo chłodu nocy
zrobiło mi się gorąco.

Policzono mnie, zważono i być może znaleziono
za lekkim.

Przez kilka długich sekund bałem się drgnąć. Nie
był to strach przed zwróceniem głodnej uwagi rekina,
lecz obawa, że spłoszę motyla. Rozejrzałem się w
końcu. Ulice i chodniki były kompletnie puste.
Żadnego obserwatora na horyzoncie, żadnej bestii, ani
śladu wzbierającego potopu lub tektonicznych
pęknięć. Byłem sam.

Użyto białego markera i na tle ciemnego plakatu
reklamowego kształty dało się rozróżnić bez trudu.
Łuki, proste kreski. Litery. I bardzo starannie
wykonany rysunek. Znałem tę rycinę bardzo dobrze.

Kojarzyć musiał ją każdy, kto choć raz widział „Dziewiąte wrota”. Prowadząca do bramy zamku droga, a na niej jeździec na koniu z prawą ręką uniesioną tak, by wyprostowany palec wskazujący spoczął na ustach w geście uciszania. Pod rysunkiem krótki napis.

Dwa wyrazy.

Moja lewa dłoń odruchowo powędrowała w kierunku szyby, ale w porę ją cofnąłem. Przestraszyłem się, że czar pryśnie, że naruszę jakiś stan ustalony i przez moją ingerencję coś się posypie. Moje palce zawisły w powietrzu. Patrzyłem w skupieniu na rząd liter.

Punkty z nieco gęściej nałożonym tuszem, w których mazak zmieniał kierunek, zawracał, przytrzymany przy szybie o ułamki sekund dłużej.

Charakterystyczne brzuski liter "a" i "o". Litera "i" bez kropki. "Er zet" skreślone jednym, ciągłym ruchem. „Białe Morza”. Tylko dwa wyrazy. Proste, nieskomplikowane, zrozumiałe. Żadnej łaciny czy suahili. Nienaruszone zupełnie z niezrozumiałych przyczyn szkło, a na nim czytelne, schludne pismo.

Włosy mi się zjeżyły.

Strach wziął się znikąd, znienacka i bez sensu. Wbudowany w człowieka, by działał jak prosta dźwignia uruchamiająca wszystkie awaryjne mechanizmy, które mają go jak najszybciej po jak najkrótszej drodze zaprowadzić do jego bezpiecznej jaskini. *Dive! Dive! Dive!* Błyskawicznie pobiegłem do auta, wsiadłem, zapiąłem pas, pacnąłem kciukiem przycisk zamka centralnego, blokując drzwi, jakbym się zamykał w samobieżnej twierdzy. Odpaliłem silnik i ruszyłem ostro Wadowicką. Nawiew schładzał

mi twarz. Próbowałem prowadzić w skupieniu, uważając na ruch uliczny, chociaż nie było łatwo, bo umysł wyrywał się do maglowania tej jednej, natrętnej jak telemarketer myśli. Takiej mianowicie, że dobrze znałem to pismo, poznałbym je absolutnie wszędzie.

To było *moje*, pieprzone, odręczne pismo.

[3] Kamienne łzy

Mężczyzna w płaszczu z kapturem siedział na betonowej ławce, trzymając w ręku włączoną latarkę. Był środek nocy, lało jak z cebra, wokół niego szumiał i szeleścił las, a niemal doskonała, nieprzenikniona dla oka ciemność osaczała go zewsząd. Za jakieś siedem minut musiał z tego miejsca zniknąć. Rozstawione przez niego uprzednio i uruchomione urządzenia monitorujące dawały jednoznaczne sygnały.

Nadchodzili.

Z punktu widzenia odczuwanego stresu nie ma żadnego znaczenia, czy w ciemności pomiędzy drzewami naprawdę czai się jakieś niebezpieczeństwo. Najmniejszego. Prawda jest nieistotna tam, gdzie działa wyobraźnia – w mroku

szczególnie twórcza. To ona usypia rozum i budzi demony, przez co wejście do lasu w środku nocy zawsze wymaga odwagi.

Odwagi szczególnej wymaga wejście tam nocą, gdy dodatkowo pada rześisty deszcz. Myśl o wejściu pomiędzy drzewa porastające wzgórze w zimną, kwietniową noc w trakcie burzy dla znakomitej większości ludzi jest odpychająca i niedorzeczna. Tak działają prawidłowości rządzące światem na przekór dowolnemu sprzeciwowi. One sprawiły, że szanse na to, iż ktokolwiek przypadkowo przypałała się do tego miejsca, zmalały niemalże do zera. W najbliższym czasie na planszy nie powinien pojawić się żaden nieproszony pionek. Nie będzie przypadkowych ofiar.

Wszystko dzięki temu, że burza nadeszła punktualnie.

Ponury mężczyzna w kapturze przez kilka poprzednich miesięcy cierpliwie zarzucał sieci. Znalazł odpowiednich ludzi, nawiązał z nimi kontakt, zdobył ich zaufanie i zyskał ich sympatię, potem wzniecił w nich ciekawość, a wreszcie rozpalił chęć podjęcia wyzwania. Teraz, kiedy unosił twarz i pozwalał, by ciężkie krople spadały mu na policzki, nos i brodę, czuł, że czas napina się jak struna, a cały plan składa w jedną, spójną całość niczym zmontowany według instrukcji mebel. Nadszedł długo przezeń wyczekiwany dzień. Ci dwaj powinni właśnie rozpocząć powolny marsz pod górę.

Gra z prawdopodobieństwem ruszyła.

Wybrał to miejsce bardzo starannie, studiując niejedną mapę i wykonaną na zamówienie makietę. Nie pasowało idealnie. Wcale o to nie chodziło. Trudno znaleźć miejsce, które byłoby doskonałą,

topograficzną kopią tamtego przekłętego miasta. Inne odległości, inne ułożenie względem stron świata, ukształtowanie terenu, wysokość – odstępstw od pierwowzoru było bardzo dużo. Nie stanowiło to problemu. Miejsce dobrze korespondowało ze wszystkim, co miało się wydarzyć i to w zupełności mu wystarczało.

Ciemny, bardzo sfatygowany płaszcz z kapturem chronił mężczyznę przed deszczem. Czoło i nos miał mokre. Po palcach leniwie spływały krople. W lesie panowała ciemność, jednak dobrze wiedział, co ma tuż przed sobą, bo wcześniej wielokrotnie odwiedził to miejsce za dnia. Siedział na kamiennej ławeczce naprzeciw sześciennego, betonowego postumentu, ogrodzonego ze wszystkich stron.

Snop światła trzymanej w ręku latarki kierował na *jej* twarz i patrzył.

Miała słowiańskie rysy. Była piękna zimną, nieoczywistą urodą. Większość jej wizerunków artyści tworzyli polegając na wyobraźni pobudzonej przez modelki z czasów im współczesnych, pochodzących z tych samych co oni krain, kultur i ras. Dlatego żadna z jej podobizn na deskach i płótnach, które można oglądać dzisiaj, nie przypomina tamtej niezwyklej osoby. Także ten posąg, jak wszystkie inne, był tylko metaforą, lokalnym wcieleniem tamtej prostej i zwyczajnej wtedy, a tajemniczej i nieprzeniknionej dziś osoby. Ale uczucia i wrażenia to język uniwersalny, który nigdy nie potrzebował alfabetu, by być zrozumiałym. Jak smutek i rezygnacja, wyraz twarzy charakterystyczny dla ludzi, którym właśnie opadały ręce. Dla tych, którzy widzą, jak wszystko wokół nich kruszy się i rozpada. Sekret schowany w kącikach ust i oczu. Miała wszystko,

czego trzeba, by przykuć wzrok i przypawić o dreszcze.

Był przekonany, że to właśnie ona trzyma klucze do zagadki, która nie dawała mu spokoju od tak dawna.

W swoim bardzo długim życiu widział już wszystko. Odwiedził krainy, gdzie padało się na twarz w hołdzie u racic odlanej ze złota jałówki, miejsca, gdzie głowy posągów wystawały ponad piaski pustyni, wśród ruin miast spalonych ogniem spadłym z nieba, i dzierzawy, gdzie stały idole o czterech twarzach i rosły święte gaje z drzewami o pniach oblanych miodem i obsypanych kwieciem. Chadzał traktami brukowanymi kamieniem i drogami wyłożonymi drewnem, ku górcom, w których nie przestawał padać deszcz, i do mórz o plażach ozdabianych bursztynem, przez gęste knieje i skroś

głębokich rzek. Pamiętał żółtawy kolor kości pozostałych po prorokach przegnanych precz, leżących w jaskiniach, gdzie dokonali żywota z rozpalonymi czołami i oczyma utkwionymi w otchłań. Pamiętał drżenie głosu ludzi stęsknionych za złotym przybytkiem, których lamentów słuchał, patrząc na dachy domów, bramy i wieże, kupieckie wielbłądy i wojskowe konie, ciasne ulice, kamienne studnie, święte sadzawki i gaje rosnące za pierścieniem murów.

Pamiętał wiele, ale zupełnie przegapił kilka brzemennych w skutki, wiosennych dni.

Tej nocy, po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna, musiał się zmierzyć z rzeczą nową i zupełnie nieprzewidywalną, wobec której wszystkie jego doświadczenia życiowe były kompletnie bezużyteczne. Machina już ruszyła. Mechanizm

działał, jego skuteczność została przetestowana przed jedenastoma dniami. Oprócz skuteczności poznał też ograniczenie jego precyzji. Utwierdził się w przekonaniu, że skutki posługiwania się nim mogą być trudne do przewidzenia, toteż planowane przezeń posunięcie jest nieodzowne. Znalazł dwóch nieświadomych niczego ludzi, których użyje. Nie będzie musiał robić sam tego, co się wiązało z największym ryzykiem. Odczuł dużą ulgę.

Nie miał żadnych skrupułów.

Ułożył latarkę na ławce, tuż obok prawego uda. To był solidny, profesjonalny szperacz, z dość dużym lustrem i mocną żarówką, wyposażony w specjalny stabilizator, pozwalający ustawić reflektorek tak, by snop światła bił pod dowolnym kątem w wybranym kierunku. Teraz oświeślał popiersie posągu.

Mężczyzna wstał i ruszył powoli alejką,
wędrując pod górę. Wiedział, że już niedługo, gdy ci
dwaj wreszcie nadejdą i stukną zapadki, snop światła
będzie wydobywał z mroku zupełnie inny kamień. Za
jego plecami twarz Miriam jaśniała jaskrawo, korpus
jej ciała tonął w nieprzeniknionej ciemności.

Zdałoby się, że lewitowała.

[4] Studnia dusz

Rysunek i napis. Odpowiedź miałem w zasięgu ręki, jak każdy dzisiaj. Wystarczyło kilkanaście lekkich uderzeń palca w telefon, by dowiedzieć się, co znaczy określenie „Białe Morza”. Chociaż nie kojarzyłem tej konkretnej nazwy, samo miejsce znałem bardzo dobrze. Ale nie odważyłem się tam jechać od razu. Było ciemno, ale za dnia też bym się na to nie zdecydował.

Miałem pietra. Takiego cztery na sześć.

Natychmiast po wejściu do mojego apartamentu rzuciłem się do komputera, bez ściągnięcia butów czy kurtki. Podpiąłem telefon do laptopa, przekopowałem na niego zdjęcia i wyświetliłem. Przejrzałem wszystkie raz, drugi, trzeci. Tam i z powrotem, w tę i

we w tę. Zacząłem chodzić po pokoju, robiąc przerwy tylko na trącenie myszki, gdy włączał się wygaszacz.

Moje pismo. Moja ręka, moje palce, moje drżące mięśnie, mój oddech, skurcze mojego serca. Mój charakter, mój temperament, mój nastrój chwili. Wszystko zaklęte na szkle, jak magnetyczne dipole w zastygłej lawie. Opierałem się rękoma o blat, jak oficer sztabowy nad wojskowymi mapami. Nie wierzyłem w to, co widziałem. Rozumiałem, co czuł Demokryt mówiąc, że wolałby znaleźć jedno proste wyjaśnienie przyczynowe niż zdobyć tron Persów.

Trwało to przez resztę nocy. Zamiast jeździć po mieście, wędrowałem po salonie. Mrok usuwał wszelki szum tła. Tkwiłem wśród ścian, patrząc na rycinę z jeźdźcem i średniowiecznym zamkiem.

Każdy od czasu do czasu widzi usmarowane mury, bo wśród nas żyje legion najróżniejszych władców spraya, malujących gdzie tylko popadnie przeważnie tandetne bzdury poprzetykane od czasu do czasu czymś ocierającym się o geniusz. Ale nikt nie zdradza w ten sposób poważnych sekretów. Wskazówek, jak dotrzeć do skarbu, nie pokazuje się *urbi et orbi*. Nigdy, nikomu, nigdzie.

Mądra zasada mnicha Wilhelma z Ockham twierdzi, że nie należy mnożyć bytów ponad miarę, że ze wszystkich możliwych rozwiązań danego problemu prawdziwe jest to, które jest najprostsze. Próbowałem jego „brzytwą” chlastać wszystkie wyjaśnienia, jakie tylko przyszły mi do głowy, arbitralnie decydując, co jest, a co nie jest rozwiązaniem najprostszym.

Odrzuciłem możliwość, że to ja wykonałem ten rysunek, a potem dopadła mnie amnezja i stąd cała moja konfuzja.

Odrzuciłem możliwość, że ja sam to wszystko napisałem na szybie przystanku będąc pod hipnozą albo lunatykując.

Odrzuciłem możliwość, że działałem pod wpływem magicznego uroku lub klątwy.

Odrzuciłem możliwość, że to wszystko jest wynikiem eksperymentu psychologicznego, leżę nieprzytomny w śpiączce, a otaczają mnie wytwory mojej wyobraźni, nad którą aktualnie nie mam żadnej kontroli.

Powodem tego odrzucenia była logika i zdrowy rozsądek. Lunatykowanie, dajmy na to. Nie sposób zostać lunatykiem tak po prostu, z dnia na dzień. To

jest poważne schorzenie. Mózg, wbrew stereotypowym przekonaniom, podczas snu wcale nie odpoczywa, wręcz przeciwnie – pracuje jeszcze ciężiej niż za dnia, tyle że zajmuje się czym innym i skany sieci neuronowych bardzo ładnie to pokazują. Większość organów podczas nocnej zmiany intensywnie robi to, co do nich należy. Poza mięśniami. Owszem, metabolizują, ich temperatura się podnosi, ale pozostają nieaktywne. Krótkie momenty, kiedy człowiek przewraca się w łóżku, to jedyne wyjątki. U lunatyków jest inaczej, ich mięśnie nie potrafią się wyłączyć. Gdybym miał tę przypadłość, już bardzo dawno temu ktoś by to zauważył.

I tak dalej, i tak dalej. Każdy z tych wariantów miał przeciwko sobie logiczne argumenty. Miał przeciwko sobie także sędziego, którego orzeczeniom

ufam bezgranicznie, gdyż jeszcze nigdy mnie nie zawiódł swoim werdyktem i jest dla mnie najbardziej magicznym elementem człowieczeństwa. Zupełnie obłądny mechanizm. Intuicja.

Odrzucałem kolejne punkty na liście, ale niewiele to pomagało. Odpowiedź na pytanie, czy to wszystko działo się samo z siebie, czy też ktoś pociągnął za wajchę – nie chciała przyjść.

A potem nastał poranek, dzień następny.

Zerwałem figę z drzewa. Nie było innego wyjścia. Odrzuciłem możliwość, by tę dziwaczną przynętę zignorować, odwrócić się od niej i odejść precz. Nie umiałbym tego zrobić. Mimo całej rezerwy i niesprecyzowanych obaw musiałem podążać za tym osobliwym tropem. Moje życie zbyt długo było zawieszone i pełne tymczasowości, pozbawione celu i

radosnej nadziei. Zbyt długo krążyłem nad lotniskiem, czekając na zgodę, by rozpocząć podejście do lądowania. Ludzie mnie wyprzedzali, śmiało prac do przodu, niczym motorówki odchodzące od żaglowca unieruchomionego wśród morskiego sztilu. Miałem tego po dziurki w nosie.

Podjąwszy tę decyzję raz, a dobrze, przestałem krążyć po salonie i usiadłem przy komputerze. Było jeszcze ciemno, przeważnie o tej porze zaczynałem moją drzemkę. Poczytałem sobie o „Białych Morzach” i uznałem, że pora znowu wypłynąć na miejski, asfaltowy akwen. Spać mi się nie chciało, zjeść mogłem później. Złapałem w zęby zbożowego batona z czekoladą i szybko wyszedłem.

Gdy wysiadłem z auta już na miejscu, za plecami miałem dwa wielkie pawilony handlowe. Po mojej prawej znajdowała się niewielka autobusowa

zajezdnia i parking samochodowy, kompletnie puste o tej porze dnia. Było szaro.

Na wprost przede mną, od lewej do prawej, wzdłuż ulicy Józefa Marcika biegł tor kolejowy. Tuż za nim znajdowało się nietypowe miejsce: wielka góra odpadów. Coś, co najpierw wydarto naturze, by potem spalić kwasem i porzucić resztki. Powstała, bo – jak twierdziła strona, na którą trafiłem w trakcie porannych poszukiwań – człowiek potrzebował szkła i papieru, mydła i środków piorących, zmiękczenia wody, odżywiania drewna i chemicznych syntez. Od 1906 roku przetwarzano tu sól kamienną i węglany wapnia, amoniak i koks. Poddawano je różnym procesom, a każdy z nich miał fachową nazwę, która przeciętnemu człowiekowi w zasadzie niczego nie mówiła. Nasycanie, wypalanie, karbonizowanie, kalcynacja. Ale najistotniejsze, że w

wyniku tych skomplikowanych czarów–marów powstawały odpady. Co prawda zaledwie maleńkie ziarenka spłukiwane przez wodę, ale jednak w ilościach ogromnych. Gorąca, pełna drobinek zawiesina.

Żeby wodę oczyścić i móc jej użyć ponownie albo przynajmniej gdzieś wylać bez szkody dla wód gruntowych, transportowano ją wagonikami i wpuszczano na 32 hektary płaskiego terenu. Tam owa ciecz po prostu stała, a grawitacja robiła swoje. Węglan wapnia osiadał na dnie, na wierzchu pozostawała czysta woda, którą w odpowiednim momencie zlewano. Wilgotny osad schnął na słońcu. Całą tę procedurę, opracowaną w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku przez belgijskiego chemika, przemysłowca i filantropa, Ernesta Solwaya, by móc produkować sodę

kalcynowaną – powtarzano wielokrotnie. Latami. Dekadami. Przez ponad osiemdziesiąt lat. Odpady utworzyły przez ten czas trzy odstojniki, dziś już zrehabilitowane, wysokie na prawie dwadzieścia metrów wyspy zieleni. W niczym już nie przypominały tamtych wilgotnych płaskowyżów, które zaczęto nazywać stosownie do ich koloru.

Białe Morza.

Na ich powierzchni znajdował się teraz dziki park. Gdy wysiadłem z auta, byłem przekonany, że czekają mnie jakieś dwie, trzy godziny poszukiwań. Kluczenia, wspinania się, łażenia po wertepach, wśród chaszczy i błota. Osiemdziesiąt siedem hektarów – wedle planu zagospodarowania przestrzennego taki teren zajmowały „Białe Morza” wraz z rozległymi przyległościami. Prawie osiem kilometrów kwadratowych. Sporo. A przecież nie szukałem

czerwonego iksa wymalowanego na ziemi. Musiałem trafić na coś nienormalnego i zwracającego uwagę. Jakieś takie nietypowe coś z takim czymś bez takiego czegoś. Z taką myślą tu przybyłem, przekonany, że poszukiwania potrwać i że będę musiał tu wracać wielokrotnie.

Przywykłem do kombinowania i robienia rzeczy na raty. Do tej pory moje życie było w dużym stopniu improwizacją. Przyjechałem do Krakowa na studia. Wkrótce potem ojciec zmarł na zawał. Matka zgasła niedługo po nim, przeżyła go o niecałe pół roku. Musiałem rzucić uczelnię i znaleźć sobie pracę. Zostałem w mieście królów, bo w moim sennym miasteczku, które zaczęło się wyludniać już wtedy, gdy tam mieszkałem, miałem małe szanse na cokolwiek. Chcąc nie chcąc wylądowałem w grupie

ludzi, którzy właściwie niczego nie mogą mieć od razu, tylko muszą się naciulać i nastarać.

*Born in a dead man's town the first kick I took was when I hit the ground.*³

Poza tym zakochałem się w nowym miejscu. Postanowiłem na jakiś czas się przyczaić. Znienacka zostałem sam, zdany wyłącznie na własne siły. Wszystkie moje zajęcia zarobkowe były marnie płatne, w zasadzie pozwalały wyłącznie na biologiczną egzystencję, ale za to miałem mnóstwo czasu na czytanie i rozmyślanie. Raz po raz zmieniałem zajęcie, systematycznie poprawiając swoją sytuację, ale zawsze tylko odrobinę. Jakbym wpadł nie w tę koleinę, co trzeba, z każdym metrem

³ Bruce Springsteen "Born in the USA"

bieżącym pogłębiającą się coraz bardziej i utrudniającą zmianę kursu. Nim się obejrzałem, zleciało prawie pięć lat. Chociaż przed zdarzeniem z loterią wcale nie czułem się napięty jak struna i gotów do wystrzału, gdy tylko drgną opuszki palców, jednak gdy wracam do tego momentu pamięcią, wyglądało, jakbym uparcie na coś czekał.

Szybko okazało się, że moje obawy były płonne. Zrobiłem kilka kroków w kierunku ulicy Marcika, rozejrzałem się i mój wzrok natychmiast przyciągnęło jedno, konkretne miejsce. Widziałem je poprzednio na zdjęciach, tyle że były to fotografie robione z bliska. Nawet mi nie przyszło do głowy, by poszukać innych. Teraz, gdy patrzyłem z oddali także na panoramę jego tła, gdy nabrało rumieńców i głębi – nie miałem żadnych wątpliwości.

To był murowany pomost, resztki wiaduktu kolejki wąskotorowej, kiedyś transportującej odpady z fabryki. Z całej konstrukcji mostu zostało tylko jedno przęsło, filar i łuk, przylegające do zbocza płaskowyżu. Czoło pomostu skierowane było pod kątem prostym do współczesnego, czynnego torowiska. Marna, zmurszała i skorodowana resztką systemu transportowego służącego Zakładom Solvaya pozostała tu chyba tylko dlatego, że każda rozbiórka kosztuje, a ten dziwny, betonowy strzęp nie przeszkadzał jeżdżącym u jej podnóża pociągom. Porośnięta zielskiem, betonowa ostroga, dżgająca zbocze jednego z trzech dawnych fabrycznych osadników. Zrośnięta z krajobrazem, ale wciąż przyciągająca oko anomalia.

Ruszyłem energicznym krokiem. Ruch samochodowy był zerowy, wokół panowała otulona

szarością poranka cisza i spokój. Poczułem lekkie mrowienie na karku. Wstrząsnął mną dreszcz. Ciało się rozgrzewało. Żwawo wskoczyłem na porośnięte krzakami pobocze, potem jednym susem pokonałem rów biegnący wzdłuż torowego nasypu, wykorzystując rozpęd, by od razu nań się wspiąć. Głowa w lewo, w prawo. Nic nie jechało.

Szybko przebyłem torowisko, uważnie przekraczając przez szyny i starannie stawiając stopy na drewnianych pokładach. Nie ma nic głupszego niż skrócić kostkę podczas pościgu za tajemnicami. Potem drugi skok przez bliźniaczy rów i znów wspinaczka, tym razem dłuższa i bardziej uciążliwa. Trzeba było pokonać stromiznę zbocza, wdrapać się na ścieżkę i zejść nią ku niewielkiej, betonowej platformie.

Zatrzymałem się, dysząc lekko z wysiłku.

Przed sobą miałem betonowe przeszło, wysokie może na dziesięć metrów, szerokie na piętnaście – nie jestem zbyt dobry w szacowaniu takich rzeczy. Proste, surowe, tynk położono niestarannie, ciągle było na nim widać ślady po szalunkach z desek. Wokół leżały typowe dla miejsc odludnych śmieci: niezliczone papierosowe kiepy, potłuczone butelki, puszki po piwie, kolorowe torebki po chipsach i tak dalej.

Postąpiłem trzy kroki, wkraczając pod półkoliste sklepienie. Zadarłem głowę. W gardle mi zaschło, jakbym się najadł sproszkowanej kredy.

Nie był wspaniały. Raczej nie wykonał go nikt głęboki ani uduchowiony. Jakiś poszukujący i pełen bóleści istnienia outsider, koniecznie chcący wyrazić COŚ, gotów sterczeć przed pustą ścianą choćby i tydzień, by wizualizować w wyobraźni i wreszcie dojść do kompozycji idealnej. W dodatku warsztat

autora był taki sobie, ale nie miało to dla mnie znaczenia w tamtej konkretnej chwili.

To był fresk.

Dziwnie się czułem. Po raz pierwszy w życiu zaczynałem mieć realny pożytek z tego, że głowę wypełniały mi informacje kompletnie bezużyteczne w życiu codziennym – co jest absolutnie typowe dla nałogowego czytelnika. Nigdy nie potrafiłem sprzedać swojej erudycji, w sytuacjach towarzyskich też nieszczególnie się sprawdzała, bo człowiek szybko wychodził na gwałcącego przez ucho kompulsywnego gadułę, którego lepiej unikać. Za to teraz ta cała przebogata, chlupocząca mi w głowie "zawartość" była jak znalazł.

Patrzyłem zafascynowany.

Można go było wykonać na tynku filaru. Na pionowej ścianie malowałoby się bez większego wysiłku i gimnastyki. Ktoś jednak wołał sobie utrudnić pracę i umiejscowił dzieło na łuku sklepienia. Bez wątpienia musiał użyć jakiegoś małego rusztowania, prosty stołek na pewno by nie wystarczył. Musiał się namęczyć, sprowadzając cały niezbędny sprzęt do tego trudno dostępnego miejsca. Trudniejsza była też sama kompozycja całości, wymagająca uwzględniania perspektywicznych skrótów, odpowiedniego rozciągania linii i zniekształcania proporcji, żeby oglądana z dołu całość wyglądała naturalnie.

Twórca szpanował.

Przed oczami miałem wielką szachownicę,
ustawioną ukośnie względem krawędzi muru,
przedstawioną w żabiej perspektywie, która zmieniała

regularne kwadraty pól planszy w biało–szare trapezy. Zamiast szachowych figur widać było trzy sylwetki.

W ognisku obrazu znalazła się postać dziecka. Niemowlęcia, jeśli idzie o twarz, nawet nie bardzo dało się rozstrzygnąć, czy to chłopiec czy dziewczynka. Niespecjalnie umiem szacować wiek. Zaryzykowałbym osąd, że dziecinka miała roczek, ale o pieniądze bym się nie założył. Dzięki starannej kompozycji kadru jego twarz stanowiła geometryczne centrum zarówno samego malunku, jak i powierzchni łuku. Gdyby przecinały go na krzyż gotyckie żebrowania, byłaby kluczem sklepienia. Przyjąłem, że to był chłopczyk, bo fresk przedstawiał go jako króla infanta, chociaż w sposób absurdalny i kompletnie nierealistyczny:

Został przez malarza ubrany w czerwony wams i takiegoż koloru spodnie. Na ramiona miał narzucony

gronostajowy płaszcz. W drobniotkich dłoniach trzymał insygnia władzy. Pełnowymiarowe i przez to zbyt duże dla każdego dziecka, a co dopiero dla niemowlęcia. Piąstki zaciskały się kurczowo na trzonku berła i na jabłku z krzyżykiem – roczne dziecko byłoby bez żadnych szans, żeby to ciężkie cholerstwo utrzymać, dlatego nie miało to sensu, choć niewątpliwie coś musiało oznaczać. Jasne jak słoma loczki spływały na czołko, na którym – w sposób skłamany na tej samej zasadzie, co w przypadku berła i jabłka w rączkach – spoczywała złota, ozdobiona klejnotami korona, przekrzywiona tak, że wyglądała jakby ktoś ją zawiesił na haku. Osesek patrzył wprost na mnie z przerażeniem w oczach. Usta ułożyły się mu w podkówkę, były lekko rozchylone i zwiastowały rychły szloch.

Nie dziwiłem mu się ani trochę.

Po jego prawej, nieco w głębi, na trzecim planie stał kat. Wcale nie wyglądał na małodobrego. Nie miał na głowie kaptura. Nie dzierżył topora, a uniesiony do zamaszystego cięcia miecz nie miał tępego sztychu. Mężczyzna był potężnej postury, długowłosy, z nagim torsem, w obcisłych, czarnych spodniach. Twarz skrywał pod skórzaną maską, przez której dwa wąskie otwory bił żółtawy blask groźnych oczu. Górował nad dzieckiem, nawet rzucał na nie cień.

Na pierwszym planie, po lewej stronie, na płaszczyźnie nieco przed chłopcem stał niewielki, drewniany mebel. Nie był to tron. Gównianie kojarzące się słowo "stolec" zdawało się tu najodpowiedniejsze. Siedział na nim łysy mężczyzna, szczupły, z ostrym, szpiczastym nosem, ukazany z prawego profilu. Plecami był zwrócony ku lewej

części fresku. Jego lewe przedramię spoczywało na podłokietniku fotela, z dłonią ułożoną płasko. Prawe ramię, wyprostowane, mężczyzna unosił przed siebie. Dłoń tej ręki również układała się płasko, wszystkie palce były zebrane razem, kciuk lekko ugięty.

Mężczyzna wydawał polecenie ścięcia. Dzieciak musiał umrzeć.

Trzymałem głowę zadartą, czując już lekki ból karku. Nie odrywałem spojrzenia od malowidła. Wokół panowała zupełna cisza. Trapiący mnie od paru dni niepokój nasilił się, przeobraził po prostu w lęk. Poczułem, jak dostaję gęsiej skórki.

Nie miałem żadnej wiedzy na temat poszczególnych elementów przedstawionych na tym dziwnym obrazie, namalowanym w najbardziej idiotycznym miejscu ze wszystkich możliwych. Nie

miałem pojęcia, czego dotyczy, o czym konkretnie opowiada. Wydawał się być jakąś alegorią, nie przedstawiał realnego wydarzenia. Natomiast przedstawiał realną twarz.

Jak już wspominałem, nigdy jej nie zapomnę.

Gdy po paru minutach przestałem się na nią gapić, zatopiony we wspomnieniach, zauważyłem coś jeszcze. Przepiękną kaligrafię, smukłą i elegancką. Napis widniał tuż po prawej stronie głowy mężczyzny z mieczem. Rząd cyfr, zgromadzonych w grupach po trzy. Pierwszą z nich wykonano farbą koloru srebrnego, drugą iluminowano złotem, trzecią na czarno, obramowując dodatkowo cyfry cieniutką białą kreską. Wiedziałem, czym są, jak tylko zobaczyłem początkowe cyfry: szóstkę, zero i ósemkę. Podejrzewam, że ich znaczenie odgadłaby bez trudu rzesza ludzi.

Patrzyłem na numer telefonu komórkowego.

[5] Seder. Drzewo cedrowe

Szczupły mężczyzna o pociągłej, porytej dość głębokimi zmarszczkami twarzy, z łysiną na czubku porośniętej nieco przydługimi włosami głowie i kilkudniowym zaroście na zapadłych policzkach powoli i miarowo machał kijem miotły. Ubrany w dżinsy i prostą, żółtą koszulkę z krótkimi rękawami, ze znoszonymi i brudnymi sportowymi półbutami na stopach, dreptał wewnątrz niewielkiej, sięgającej mu nieco powyżej biodra, wyłożonej kamieniami niecki i starannie ją zamiatał.

– Wcześniej zacząłeś – dobiegło go z prawej. Spojrzał na zbliżające się doń dwie kobiety. Uśmiech rozjaśnił mu twarz. Młodsza, niższa, dwudziestokilkuletnia szła powoli, ledwie patrząc pod nogi, pochłonięta układaniem kostki Rubika, od czego

ewidentnie nie mogła się oderwać nawet w ruchu. Miała na sobie czarne legginsy i także prostą koszulkę, mocno opiętą na niezbyt wydatnym biuście. Brązowe, proste, opadające na plecy włosy wyglądały jakby przeszły właśnie mozolne czesanie grzebieniem. Jediną ozdobą szczupłych palców jej dłoni były starannie zadbane paznokcie. Obok niej kroczyła dostojnie kobieta dojrzała, choć nie wiekowa, wyższa o głowę i korpulentna. Włożyła sukienkę z fioletowej dzianiny sięgającą kostek i zabudowaną pod samą szyję, idealnie dopasowaną, zebraną w talii prostym, jaskrawo żółtym paskiem. Idąc stukała zdobięcymi prawy nadgarstek, prostymi bransoletkami z laki i gumy, tak samo żółtymi jak pasek i płaskie buty bez nosków nasunięte na niewielkie stopy. Jej czarne jak inkaust, ścięte krótko

włosy lśniły w świetle dnia, podobnie jak usta pociągnięte fioletowym błyszczkiem.

– A jakoś tak wyszło – odpowiedział mężczyzna.

– Śniadanie jadłeś?

– Małe. Wystarczyło, żeby ruszyć z pracą. Mamy jej huk jeszcze.

– Jak ci idzie? – Kobieta zbliżyła się, schyliła i cmoknęła go w policzek. – Zmachales się już tak bardzo?

– Ano... – Mężczyzna pokiwał głową, odkładając na moment miotłę i odchylając się mocno do tyłu, by rozprostować i rozluźnić plecy. Rozejrzał się. Stali pod czterospadowym, drewnianym dachem zamocowanym na starannie wyciętych z bali i obrobionych dłutami filarach, posadowionych

wewnątrz wykutych z kamienia, mocno wkopanych w glebę kotwach. Obie kobiety stały na krawędzi wyłożonej ciężkimi głazami okrągłej niecki, głębokiej na jakiś metr, szerokiej na trzy. Powierzchnię znajdującą się wokół jej brzegu pokrywały równe, płaskie kamienie o krawędziach obrobionych tak starannie, że ich naturalne krzywizny przylegały do siebie na tyle blisko, by powstała estetycznie wyglądająca posadzka. – Ale nieźle mi idzie. Co grubsze wybrałem stąd łopatą, teraz już tylko sam kurz zgarniam. Niedługo będzie można dokończyć szmatami.

Spojrzał w górę na kobiety.

– Wy już jadłyście? Jesteście gotowe na pracowity dzień?

– Jeszcze nie. Zaraz coś tam sobie zrobimy.

– Sara, pracujesz umysłem na zapas?

– Owszem. – Zagadnięta uśmiechnęła się do mężczyzny, po czym wróciła do energicznego manewrowania kostką. – To mnie budzi.

– To dobrze. – Ten pokiwał głową. – Co prawda to nie jest nasz pierwszy raz, ale tym razem przedsięwzięcie jest dużo większe, więc dla formalności powtórzę – oświadczył, opierając się plecami o kamienną krzywizną ściany. – Dzisiaj kończę sprzątać mykwę i zaczynam nosić wodę. Myślę, że zejdzie mi na to większość dnia. Niestety, muszę tu nanieść tyle, żeby dało się zanurzyć ciało mężczyzny.

– Po co? – zdziwiła się kobieta, poprawiając bransoletki na nadgarstku. – Na początku była mowa tylko o umywaniu nóg.

– Podobno chodzi jeszcze o taki obrzęd, jak ten, którego głośny pustelnik dokonuje nad Jordanem. Trzeba całe ciało zanurzyć. Z tego, co zrozumiałem, nie wszyscy w tej grupie są już chrześcijanami.

– Aha. A muszą nimi zostać?

– Blanda, pytaj się mnie, a ja ciebie.

– Rozumiem.

– Na was w takim razie leżą kuchenne sprawy. – Mężczyzna otarł czoło przedramieniem, a potem przedramię o dżinsy. – Na początek w każdym razie, bo jeśli mnie noszenie wody wykończy, zmienimy się i ja trochę podziałam z krojeniem owoców czy tarciami chrzanu. Wy musicie przygotować słoną wodę – sól zdobyłem, leży na stole w kuchni. Ja posiekam potem owoce i orzechy, więc tylko je przygotujcie, zbierzcie też jajka z kurników. Wina są

już przygotowane. – Spojrzał na obie kobiety. Starsza kiwała głową, jakby odhaczała w pamięci kolejne punkty wyliczanki. – Trzeba naciąć ziół i kwiatów, wazony mamy, kielichy też, wszystkie pięć. Dwa pożyczyłem od arcykapłana. Powierzchnia obrusów jest wystarczająca, mierzyłem. Baran wybrany. Z nim jednym musimy zaczekać do samego końca. Resztę jak najszybciej. Chrzan zetrę, wy potnijcie sałatę, rzodkiewkę, seler, pietruchę, no i cebulę, bo ja zbyt mocno przy niej ryczę. Nie wiem, czemu nie przy chrzanie. Naczynie na wodę jest, talerze sederowe też zdobyłem.

– Ile? – zapytała Blanda, patrząc nań znacząco.

– Szesnaście – odpowiedział. Pokiwała głową.

– Nas troje, dla nich trzynaście. Czyli jednak będą wszyscy – ni to stwierdziła, ni to spytała. –
Dziwne.

– Wczoraj powiedzieli, że dadzą mi dzisiaj znać, gdyby się miało cokolwiek zmienić. Nikogo nie było póki co, więc zakładałam, że ustalenia się nie zmieniły i działały według poprzedniego planu.

– Kajfa chce jeszcze uratować to, co zaplanował?

– Na to wygląda.

– Nie rozumiem, po co. Po tym aresztowaniu to chyba nie ma już sensu, nie? Czar prysł. Gdyby się jeszcze odbyło dyskretnie, nie na oczach tłumów...

– Podejrzewam, że to ma być jakiś gest. Nie wiem, o co chodzi. Pamiętaj, że jestem tylko zarządcą jego domu. Mówi mi, że mam ugościć na naszym

Pesach trzynastu obcych ludzi tak, żeby nikt ich nie widział i nie zadawał zbędnych pytań – to tak robię. Co ja mam do gadania?

– Qracchusie, dobrze wiesz, że on cię nie traktuje w ten sposób.

– Może i nie, ale wolę z tym nie przesadzać. – Znów przetarł czoło przedramieniem. – Może to próba jakiegoś porozumienia. Nie chcę tu gdybać, to sprawa dość delikatna.

– I nadal aktualna? Naprawdę?

Rozłożył ręce.

– Może to już tylko jakieś pożegnalne coś, wypuszczą tego proroka na moment, w jakimś geście dobrej woli. Nie wiem, czego dokładnie Kajfa się

jeszcze spodziewa. Zwłaszcza że teraz to będzie ryzykowny ruch.

– Prędzej wstydlivy. Przecież ten człowiek to teraz pośmiewisko.

– Grunt, że nie kazano nam urządzać tej wieczery w jakiejś ciasnej, zatęchłej szopie.

– Sara, ty co myślisz?

– W lochu siedzi – odpowiedziała zapytana, nie przerywając układania kostki. – Nigdzie stamtąd nie wyjdzie. Tu nie chodzi o niego.

Mężczyzna uśmiechnął się, kiwając głową.

– Coś jest warte urządzenia wieczery sederowej. Nie wiem, nie będę zmyślał na poczekaniu.

– Zdążymy? Dla takiej grupy nigdy tego nie robiliśmy. Jesteśmy zawsze tylko we troje.

Qracchus pokiwał głową.

– Tak sędzę. Najwyżej szukanie chamecu zaczniemy trochę później, może tuż przed zmrokiem. Świece są gotowe, łyżki też, mam trochę piór związanych, do zamiatania okruchów w zupełności wystarczy. Naczynia skoszerujemy dzisiaj wieczorem, żeby sobie całą środę poleżały nieużywane. Sam piec i garnki dopiero jutro. Jak skończymy poszukiwania, zostanie tylko wrzątek przygotować i wszystkie misy w nim wymoczyć. Zrobimy to może rano, zaraz po spaleniu chamecu.

– Tato, nie dasz sobie rady z tą wodą.
Kilkadziesiąt wiader tu wejdzie. Nie zdążymy.
Pomogę ci z tym od razu.

– Nie, nie. Zacznę sam i zobaczymy, jak mi będzie szło. Wtedy zdecydujemy. Jedzenie ważniejsze. Wodę można do samego końca znosić.

– Wszystko na dobrej drodze – stwierdziła Blanda. – Tylko gość honorowy w lochu.

– Podobno teść Kajfy go przesłuchuje. Słyszałem od Josefa, że Antypas też chciał go zobaczyć.

– Będą go wszyscy podziwiał jak cętkowane zwierzę na łańcuchu.

– Postawią go w końcu przed sądem. Josef tyle tylko uzyskał u Kajfy, że nie wydali wyroku z marszu, bo w Małym Sanhedrynie było burzliwie. Na razie Kajfa wszystko zatrzymał, ale tylko na chwilę.

– Jak to Josef zrobił? Łapówkami?

– Tego nie wiem – Qracchus wzruszył ramionami. – Powiedział na zgromadzeniu, że nie ma powodów do pośpiechu, bo nie widać zupełnie, żeby z powodu awantury na dziedzińcu powstało jakieś wielkie poruszenie. Ludzie dużo gadali, ale więcej nic się nie stało. Przekonał tych napadniętych handlarzy, że im zrekompensuje straty i jeszcze coś na osłodę dorzuci, bo paru oberwało rzemieniem przez twarz. Byle oświadczyli, że nie żywią urazy za to, co się stało. Im na pewno grubo posmarował, w to nie wątpię.

– To jakiś jego krewny?

– Nic o tym nie wiem.

– To dlaczego kapłan Świątyni tak się troszczy o galilejskiego włóczęgę i nieroba?

– On tylko teraz żyje z żebrania, odkąd naucza.

Parę lat. Ale ma wyuczony zawód.

– Poważnie?

– Cieśla i kamieniarz. Po ojcu.

– Aha. Myślisz, że Kajfa robi to tutaj też na prośbę Josefa?

Mężczyzna pokręcił energicznie głową.

– Nie. Coś sam kombinuje.

– Same tajemnice.

– Owszem.

– Chyba trzeba się brać do pracy – mruknęła Blanda, kierując spojrzenie w stronę widocznego w dali kamiennego, romańskiego kościoła, otoczonego otynkowanym, pomalowanym na biało murem.

– Tam jest dość silna opozycja – dodał Qracchus, jakby grając na zwłokę. – Wśród kapłanów.

Domagają się dla tego proroka kary nie jak za rozbój, tylko za sprofanowanie świątyni. Trochę naciągane, przepychanki w tłumie w trakcie świąt to normalna rzecz. Zawsze coś się tam dzieje. Na dodatek rzecz się rozegrała poza ścisłym centrum przybytku, na ogólnie dostępnym placu. Ale szyją mu takie buty. Pewnie w końcu uszyją.

– Kamieniami – mruknęła Sara znad zawzięcie układanej kostki.

– Kajfa kazał nam kontynuować przygotowania – zauważyła Blanda. – Chyba tylko dlatego ten człowiek jeszcze żyje.

Qracchus sięgnął po miotłę i wrócił do sprzątnia.

– Dajmy temu spokój na razie – rzucił przez ramię. – Sara, jakby ci coś przyszło do głowy, od razu mi powiedz. Od paru dni usiłuję to rozgryźć, jeszcze trochę i mi łeb rozsadzi.

– Dobrze, tato, pomyślę o tym.

– Przy okazji pokombinuj, dlaczego płaczę przy krojeniu cebuli, a przy tarcu chrzanu już nie.

[6] Verdaccio

Do auta wracałem "na autopilocie", zamyślony.

Trzy trójki cyfr. Rzecz bardzo trywialna, ale o ogromnej mocy oddziaływania. Jak płonący krzyż ze snu Konstantyna. Czy ja naprawdę byłem na skośnej, stromej ścianie wielkiego leja, skazany na zsunięcie się w dół? Owszem, byłem. Nikt mi pistoletu do skroni nie przystawiał, ale i tak wiedziałem, że nie zawrócę.

Wpisałem numer do notesu a potem do komórki. Nie rozpoznałem go, nie kojarzyłem, ale wiedziałem, do kogo należy. Wiedziałem, kto odbierze.

Łysy mężczyzna z fresku, z twarzą, którą widziałem przez maleńkie okienko kiosku tuż przed Momentem.

W głowie miałem kłębowisko pytań i wątpliwości. Obecność mojego odręcznego pisma na zniszczonym przystanku nie miała żadnego sensu. Nie istniało dobre uzasadnienie istnienia tego dziwnego malowidła, które zostawiłem za plecami, uprzednio wykonawszy mnóstwo zdjęć. Dalszy krok wydawał się oczywisty i nieunikniony.

Ściana leja była naprawdę stroma.

Sięgnąłem po telefon i odblokowałem go. Przez chwilę próbowałem w myślach przewidzieć przebieg rozmowy. Co miałem powiedzieć? Jak w ogóle zacząć? W końcu doszedłem do wniosku, że nie sposób się do niej przygotować. Sygnał wybierania zabrzmiał raz, drugi, trzeci.

– Tak, słucham.

Konsternacja na moment odebrała mi mowę.

– Znalazłem... – zacząłem. – Znalazłem ten numer, więc dzwonię.

– Nie rozumiem. Kto mówi?

– Na murze... Wiadukt... To znaczy...

Brak refleksu kompletnie mnie załatwił. Za dużo założeń poczyniłem przed tą rozmową. Przez sekundę niczego w słuchawce nie słyszałem.

– Człowieku, pomyliłeś numery. Nie rób tego więcej.

Rozłączył się, zanim zdążyłem cokolwiek dodać. Nie, żebym miał do powiedzenia coś mądrego. To nie był głos tamtego faceta. Należał do kogoś bardzo młodego. Porównałem numer wyświetlony na ekranie telefonu z tym zapisanym w notesie. Identyczne.

Dzwonienie to był głupi pomysł. Rozmowa telefoniczna z nieznanym nie mogła być przecież zbyt długa, należało w miarę szybko wyjaśnić, o co chodzi, a to było niewykonalne. Uznałem, że pora użyć telefonu, by przesłać coś wartego tysiące niewypowiedzianych słów. Przygotowałem MMS-y, do których załączyłem trzy zdjęcia: jedno z przęsłem, wykonane pod takim kątem, że widać było malunek – to, że tam naprawdę jest. Drugie ze zbliżeniem fresku w całej jego okazałości, ładnie wykadrowanym. Trzecie z rzutem na ciąg cyfr. Do zdjęć dołączyłem jedno zdanie.

„Nie pomyliłem numeru”.

Wysłałem wiadomość, wsiadłem do auta i ruszyłem do domu. Czułem, jak dopada mnie naprawdę wielkie zmęczenie. Za dużo miałem ostatnio emocji, a za mało snu. Doszedłem do

wniosku, że pora się schować, zwinąć w kłębek i zasnąć na długo. Po krótkim namyśle skręciłem w Zakopiańską, by polecieć potem ulicą Brożka do Tesco. Potrzebowałem czegoś do picia. Kupiłem zgrzewkę mineralnej, kilka kartonów pomarańczowego soku i dwie butelki cytrynowego syropu. Mało mi nadgarstków nie pourywało podczas noszenia, ale w końcu dotarłem do siebie.

Władowałem zakupy do lodówki, pół butelki wody wypilem od razu. Potem zalałem do pełna duży kubek mieszaniną syropu i wody, żeby go mieć pod ręką. Zrzuciłem buty, ułożyłem się na kanapie, nakryłem polarowym pledem.

Sen przyszedł szybko.

Obudziłem się wczesnym popołudniem. W rejestrze telefonu widniały trzy nieodebrane połączenia. Z tego samego numeru, na który wysłałem

MMS-y. Musiałem spać snem kamiennym, bo niczego nie słyszałem.

Zaparzyłem sobie kawę w ekspresie ciśnieniowym i nalałem ją do mojego ulubionego, glinianego, lekko poszczerbionego już kubka – jednej z niewielu pamiątek po mamie. Wziąłem trzy głębokie łyki na rozruch i powędrowałem do łazienki. Długi, gorący prysznic, para na lustrach, wilgoć na całej glazurze. Potem mydełko, pędzel, chłodzący balsam i woda po goleniu. Przez chwilę stałem nago w salonie, patrząc przez okna na zielone Błonia, wypełnione rolnikami i biegaczami. W mieszkaniu ze współlokatorami nie było szans chodzić na waleta. Tutaj już od pierwszej próby polubiłem wędrowanie boso po miękkich dywanach i chłodnych panelach podłogowych.

Trzy połączenia.

To znaczyło, że się podekscytował. Gdyby było tylko jedno, oznaczałoby to, że zadzwonił dla formalności, ale nie odebrałem, więc odpuścił. Dwa znaczyłyby, że sprawdzał, czy aby nie trafił za pierwszym razem na moment, gdy jestem w podziemiach i nie mam zasięgu. Te dwie próby dzielił niecały kwadrans. Trzecie podejście było po blisko trzech godzinach od drugiego, co znaczyło, że po dwóch nieudanych próbach zajął się swoimi sprawami, a po wszystkim spróbował znowu. Czwartej próby nie podjął, słusznie uznając, że teraz piłeczka leży na mojej połowie boiska.

Ubrałem się. Dopilem kawę i nalałem z dzbanka następną porcję. Wyszedłem z kubkiem na taras, usiadłem w wiklinowym fotelu. Wiał lekki wiaterek, ciepły i przyjemny, co było miłą odmianą po ostatnich

raczej chłodnych wieczorach i zimnych nocach.

Wiosna była tuż.

Wybrałem numer. Po trzecim dzwonku odebrał.

– To ja – oznajmiłem po prostu.

– Gdzie pan to znalazł? – odpowiedział mi głos drżący z emocji. Powiedziałem mu gdzie, opisując drogę dojazdu najdokładniej jak umiałem.

– Niesamowite – skwitował.

– Owszem – zgodziłem się grzecznie.

Człowieku, nie masz pojęcia jak bardzo.

– Pojadę go zobaczyć – oświadczył. Przez chwilę milczałem.

– Jest pan tam?

– Proszę jechać i obejrzeć – powiedziałem w końcu. – Proszę też odwiedzić przystanek autobusowy na skrzyżowaniu ulic Tischnera i Wadowickiej, ten zniszczony. Potem proszę się do mnie odezwać.

– I co tam...?

– Na pewno się pan kapnie.

– Dobra. – Jego wahanie trwało krótko, może sekundę, może dwie. Rozłączył się. Ten człowiek nie lubił marnować czasu albo po prostu nie mógł sobie na to pozwolić.

Odetchnąłem. To był ważny moment. Otwarcie drugiego oka, inny punkt widzenia, inny świadek i obserwator. Inny kąt natarcia na problem. Musiałem wreszcie scedować na kogoś część emocji.

Przyniosłem na taras laptopa, usiadłem w fotelu po turecku i zacząłem grzebać w sieci. Szukałem

jakichkolwiek nowych informacji na temat wypadku przy przystanku.

Nie było łatwo. Sieć jest bestią, która rozszarpuje. Informacja wrzucona w jedno miejsce szybko zostaje powielona przez rozmaite agregatory, jak również portale, których redaktorzy żywcem kopiują całe artykuły, nierzadko kompilując je z tekstów i depesz uzyskanych z kilku różnych źródeł, i z czasem dorzucając kolejne uaktualnienia. Efektem jest klęska urodzaju: żeby znaleźć coś naprawdę ciekawego, coś różniącego się od agencyjnych gotowców, trzeba spędzić przy komputerze dużo czasu, trafiając wciąż na te same teksty. I bardzo się naklikać.

Czasem sporo ciekawostek można znaleźć w komentarzach. Z nimi jest inny problem: trzeba się przedrzeć przez sterty bluzgów i idiotyzmów, w

znakomitej większości pisane przez wtórnych analfabetów. W sieci każdy jest anonimowy i nieważne, jak się podpisuje. Komentarz zamieszczony przez Lucjana Wistulę nie przestaje być anonimowy tylko dlatego, że sprawia wrażenie autentycznych personaliów. Siarczan666 czy coś równie porypanego, ma za sobą tę samą, nijaką wiarygodność. Musiałem oceniać wagę wpisów w oparciu o samą ich treść.

Było to doświadczenie straszne, ale wysiłek się opłacił.

Trafiłem na parę zdań od kogoś, kto dobrze znał niedoszłą ofiarę wypadku, tego starszego pana o imieniu Zygmunt. Emeryt we wszystkich rozmowach w zasadzie z każdym, kto się nawinął, twierdził, że ocaliła go Matka Boska. Jeden czy dwóch księży, poproszonych z tej okazji o komentarz, zdążyło coś

tam powiedzieć o cudzie ocalenia – ale w sumie niewiele więcej.

Zdjęcia samochodu, które zaczęły krążyć po sieci, zrobiono nocą, na policyjnym parkingu – ewidentnie ktoś się tam włamał, względnie dał stróżowi w łapę. W komentarzach zaczęto sugerować, że ów ktoś je potem podrasował. Nie udało się nikomu ustalić personaliów kobiety prowadzącej auto, ale pewnie była to tylko kwestia czasu, aż wyskoczy gdzieś na portalu jakiś kolega szwagra policjanta mającego stosowny dostęp do rejestru protokołów powypadkowych.

Z panem Zygmuntem mieli łatwiej. Był Bogu ducha winny, prosty, jeden z tych, których mowa jest: tak, tak, nie, nie. Do mikrofonów gadał nawet chętnie. Bęcki zaczął zbierać dość szybko. Pojawiły się pierwsze sugestie, że może mu się coś przywidziało,

może był pod wpływem. Ktoś go przydybał na przystanku, gdy przyszedł ze świeczką i obrazkiem Matki Boskiej Licheńskiej, by ustawić na miejscu wypadku mały, dziękczynny ołtarzyk. Kilkanaście komentarzy pod artykułem poświęcono bece, czemu akurat ta, a nie na przykład częstochowska, która przecież ma do Krakowa dużo bliżej.

Skupiłem się na samych zdjęciach. Dwa wklęśnięcia na przedzie auta wyglądały niesamowicie. Surrealistycznie. Głębokie, pionowe, walcowate ugięcia zderzaka, grilla chłodnicy i czoła maski. Zupełnie jakby samochód wrąbał się w dwa stojące obok siebie, żelbetonowe słupy, a nie miękkie, ludzkie ciało. Przypomniałem sobie komentarze o fałszerstwach i fotomontażach. O, takiego. Miałem ten komfort, że nie dysponując wiedzą procesową, dysponowałem wiedzą operacyjną. To się zdarzyło w

biały dzień, w sercu miasta. Podczas porannego szczytu. To nie były opowieści o cudach sprzed ośmiu dekad, artefaktów nie szukano trzy wieki później. Uczestnicy, świadkowie, lokalizacja, pozostałości – wszystko było w jednym miejscu i w tym samym punkcie czasu.

Idealny cud.

Przyjrzałem się zdjęciom zbliżeń. Zrobiono je przy marnym świetle, dawał je tylko flesz aparatu. Kolory nienaturalne, w cholerę głębokich cieni, typowych dla jednopunktowego oświetlenia. Ze dwa zrobiono w pośpiechu, więc obraz lekko się rozmył. To, co fotografie pokazywały, było kompletnie nieziemskie. Żeby to się mogło wydarzyć, staruszek musiałby mieć kości z tytanu, a mięśnie z grafenowych nanorurek, elastycznych i sto razy twardszych od stali. A i to nie gwarantowałoby mu

przeżycia, bo uderzenie rozpędzonego auta, ważącego bez mała tonę, przekazało w jego ciało taką energię, że biedny pan Zygmunt powinien był umrzeć od samego wstrząsu, z powodu uszkodzonych organów i wewnętrznych krwotoków.

Ułożyłem się wygodniej na fotelu, podkuliłem nogi. Przymknąłem oczy i zapadłem w płytką drzemkę.

Niecałe dwie godziny później zadzwonił mój telefon.

W cieniu Godota. *Katoda*

Długa, biała, pozbawiona jakichkolwiek
oznakowań ciężarówka jechała powoli ulicą
Zbigniewa Herberta, zwalniając przed skrzyżowaniem
i światłami, by doturlać się jeszcze trochę do miejsca,
gdzie po prawej widniała celowo pozostawiona
wyrwa w ciągu dźwiękoszczelnych ekranów, po czym
bardzo powoli skręcić we wjazd prowadzący na
trawiasty teren. Ze skrzypem stoczyła się po
podjeździe, potem wjechała pomiędzy dwa
porzucone, niszczone, zabite dechami domy, po
czym kierowca, sprawnie manewrując, schował ją na
tyłach jednego z nich. Odbił w lewo, zbliżając się do
wysokiego na dwadzieścia metrów, porośniętego
trawą i krzewami płaskowyżu. Zatrzymał się i cofnął,

przybliżając się doń jeszcze bardziej, starannie pozycjonując wóz równolegle do pionowego zbocza.

Silnik zgasł.

Z szoferki po prawej zeskoczył na ziemię mężczyzna. Był wysoki, barczysty, ubrany w dzinsy i ciemną dresową bluzę. Głowę miał wygoloną do zera po obu stronach, poza czarnym pasem włosów na ciemieniu i potylicy. Poruszał się energicznie i pewnie, przechodząc na tyły pojazdu i otwierając na oścież jedno skrzydło drzwi. Sięgnął ręką do wnętrza paki i wydobył stamtąd metalowy kołowrót z nawiniętym nań grubym kablem. Zakręcił korbą, poluzowując kawałek przewodu, potem kilkoma sprawnymi ruchami dłoni odgiął wykładzinę podłogi, odsłaniając specjalnie wykonane w podłodze wcięcie, wsunął w nie kabel, ponownie zakręcił korbą i ruszył ku budynkowi, powoli rozwijając przewód, który

łagodnie kładł się na trawie. Gdy mężczyzna dotarł do tylnego wejścia, wydobytymi z kieszeni kluczami otworzył tanie drzwi z dykty i zniknął w środku. Po niecałej minucie wyszedł, butem przesunął kabel na tyle, by drzwi dało się przymknąć, po czym ruszył z powrotem.

Ponowił procedurę, choć tym razem rozwinął kabel w kierunku zbocza płaskowyżu. Gdy znalazł się odeń na wyciągnięcie ramienia, palcami przeczesał porastającą go trawę, złapał odnaleziony w ten sposób uchwyt i pociągnął ku sobie.

Niewielkie, drewniane drzwi zamontowane prymitywnie na grubym pręcie zbrojeniowym, który pełnił rolę zawiasu, z zewnątrz pokryte warstwą gleby z pożółkłą już w większości trawą, uchylily się dość opornie, odsłaniając starannie wyciętą prostokątną, niezbyt głęboką nieckę. Pośrodku widać było krawędź

okrągłej, betonowej cembrowiny o średnicy mniej więcej wylotu słoika. Mężczyzna podciągnął przewód, chwycił jego koniec zwieńczony złotym, trójkątnym grotem wielkości dłoni, po czym bardzo ostrożnym pchnięciem zagłębił go w wypełniającą wewnątrz okrągłego ogranicznika szarej, twardej substancji, starając się precyzyjnie trafić w otwór pozostały w niej po poprzednim razie. Podciągnął kabel, przerzucając go ponad górną krawędzią drzwiczek, po czym przymknął je, upewniając się, że ostro wygięty w górę przewód nie spowodował wysunięcia się grotu. Wymacał na nich stalowy drut z wygiętym końcem, przesunął go tak, by ten znalazł się w pobliżu wyciętej niecki, odszukał celowo w tym miejscu zamocowany stalowy pierścień i zatknął w nim hak. Sprawdził, że całość solidnie się

trzyma, po czym wrócił do samochodu, zamknął drzwi paki i wrócił do szoferki.

– Gotowe – oznajmił, sięgając do schowka po laptopa i słuchawki z mikrofonem. Paroma pacnięciami w panel dotykowy uruchomił przeglądarkę, wcisnął przycisk skrótu, by załadować stronę. Gdy wyskoczyło okienko logowania, wpisał login i hasło, po czym patrzył, jak ładuje się kontrolny dashboard, pełen ramek, list komunikatów i klikalnych linków. Pacnął kursorem ten z napisem "WarRoom", otwierając osobną zakładkę, i upewnił się, że mikrofon ma włączony. Po załadowaniu się okna chatowego kliknął "Wdzwoń przez komputer" i przełączył się z powrotem na zakładkę z ogólnym panelem.

– Słyszysz mnie, Wiktor?

– Tak jest – rozległo się w słuchawce. – Odsuń trochę dalej mikrofon, dyszysz jak zbok.

– Ja też słyszę. – W słuchawce rozległ się głos kobiety.

– Wczep zabezpieczony. Zasilanie w domu podpięte. Możemy zaczynać.

– Dajesz, Karola – rozległo się w słuchawce. Mężczyzna patrzył na ramkę i na wyrysowaną wewnątrz niej niewielką mapkę płaskowyżu, przy którym się znajdowali. Bardzo nieregularny kształt, od biedy przypominający prostokąt, miał zielony kolor, gdzieniegdzie tylko poprzecinany żółtawymi liniami.

– Moc pięć procent pójdzie na sieć "Burza" – oznajmiła Karolina.

Mężczyzna wykręcił się na fotelu i zajrzał przez specjalnie spreparowane za fotelem wejście do oświetlonej kilkoma punktowymi lampkami paki. Napotkał skupione spojrzenie kobiety zasiadającej na obrotowym krześle. Była bardzo szczupła, ubrana w dżinsy i szarą bluzkę, na którą narzuciła czerwoną kurtkę z podwiniętymi rękawami. Na stopach miała lekkie sportowe buty. Jej dłonie spoczywały na myszce i na klawiaturze, które leżały na opuszczonym obecnie, czarnym pulpicie przymocowanym solidnymi zawiasami do ściany. Gdy skinęła mu głową, równiutko przycięta grzywka jej krótko ściętych włosów zafalowała.

Rozległo się kliknięcie. Kobieta uważnie obserwowała zawartość pięciu dużych paneli LCD zamontowanych na specjalnym metalowym racku przy ścianie nad pulpitem. Mężczyzna rzucił okiem na

środek paki, gdzie znajdowała się ogromna, drewniana, sześcienna skrzynia sięgająca prawie pod sufit. Przestrzeń między ścianami jej a ładowni wypełniała gruba warstwa amortyzującej gąbki. Na ścianie tylnej widniały zamontowane szafy sterownicze z poliestru, których drzwiczki skrywały rozmaite bezpieczniki, przełączniki i cyfrowe wyświetlacze. Na poziomie podłogi wychodziły ze skrzyni przez wąską szczelinę cienkie kable w czerwonej izolacji, wędrujące do niewielkiej skrzyneczki przymocowanej do racka pod jednym z wyświetlaczy. Z jej przeciwnej strony odchodził czarny kabel podłączony przez port USB do laptopa Karoliny.

Mężczyzna upewnił się, że od strony skrzyni niczego niepokojącego nie słyszy i ponownie skupił się na swoim laptopie.

Na mapce zaczęły się wyrysowywać białymi i żółtawymi, cienkimi kreskami chaotyczne kształty, rozmaite esy-floresy, nie wykraczające jednakowoż poza kwadratowy obszar w prawym, górnym rogu mapki, zajmujący bardzo niewielką część całości, mniej więcej jedną ósmą. Z jednym wyjątkiem: widać było cienką, za to prostą jak od linijki kreskę, która kilkakrotnie łamała się pod kątem prostym, biegnąc to w dół, to w prawo, by ostatecznie sięgnąć miejsca, w którym się obecnie znajdowali. Tuż obok tego punktu widać było dwa kwadraciki symbolizujące oba opuszczone domy.

Widoczny na górze ekranu pasek postępu sprawnie przesunął się ku stu procentom.

– I jak to wygląda? – zapytał Wiktor.

– Panowie, macie ten sam panel co ja przed oczami.

– Ale ty patrzysz na pięć dużych ładnych ekranów w przepięknej rozdzielczości i wszystko widzisz za jednym zamachem, a ja się tu muszę między tabami przełączać. Naprawdę musimy przez tę dyskusję przechodzić po raz drugi?

– Czuję się jak dupa w "Star Treku" powtarzająca komunikaty komputera.

– Nie jestem pewien, czy tam był ktoś taki – odparł mężczyzna z szoferki.

– Nawet jeśli nie, to tak się czuję.

– Zlituj się, Karola.

– Łączę działa – westchnęła teatralnie do mikrofonu. – Zgodność sieci z jej poprzednim

kształtem stuprocentowa w granicach pomiaru. Jest stabilna. Wszystkie skanery się zgłosiły. Maksymalny czas odpowiedzi to siedem milisekund, z tego najdalszego zakątka. Reszta poniżej pięciu. Stan naładowania wszystkich... No, nie ma nigdzie więcej niż 40 i mniej niż 34 procent.

– Tym bym się nie przejmował.

Probabilizowanie w tym wypadku potrwa na tyle krótko, że powinno wystarczyć.

– Wyłączamy – oznajmił mężczyzna siedzący na przedzie. – Przerzucenie brakujących skanerów z sieci "Lotto" do "Miriam" zajmie nam ze cztery godziny, jak sądzę. Może trzy. Zależy, jak nam będzie szło namierzanie. Powinno nam czasu wystarczyć, żeby się zmieścić. Odzywał się może?

– Nie – zaprzeczył Wiktor.

– Wyjeżdżasz na pozycję od razu?

– Do Przegorzała? Za chwilę.

– Możemy przez ten czas wysyłać wiadomości głosowe. Będziemy relacjonować postęp na bieżąco.

– Dobra. Słuchajcie, teraz wyłączę "Burzę", przetestujemy od razu zdalne sterowanie.

– Karola, prawda, że ty się tylko tak krygujesz, ale bardzo lubisz tak po żołniersku wszystko raportować, co nie?

– Bujaj się, Maklałd. Trzeba mu kupić ten sam zestaw ekranów i rozdzielacza, będzie siedział w domku i wszystko widział. Nie będę musiała za każdym razem opowiadać mu liczb i wykresów. Dobra, sieć nieaktywna, wszystko przepięknie zgasło. Myślę, Wiktor, że odtąd możesz to już robić sam.

– Powaga?

– No tylko popatrz jak umiesz klikać i robić rzeczy.

– Wiktor, my spadamy – powiedział Makłałd, zamknął laptopa i umieścił go z powrotem w schowku razem ze słuchawkami. Wyskoczył z szoferki, powędrował do niecki ukrytej w zboczu, ostrożnie odłączył kabel, zamknął zamaskowane drzwiczki, upewniając się, że dobrze przylegają i że niczego nie widać. Powoli wrócił do ciężarówki, starannie nawijając kabel na kołowrót, który schował ponownie w ciężarówce. Karolina czekała tuż obok z dwiema dużymi, turystycznymi torbami u stóp. Zamknął drzwi, po czym zarzucił sobie na ramię jedną z nich, podczas gdy kobieta majstrowała coś przy niewielkim urządzeniu wielkości telefonu z rozświetlonym niebieskawo ekranem.

– Działa – oznajmiła, pokazując mu ekran, na którym widniały dokładne koordynaty ich pozycji. Wyłączyła urządzenie, schowała je do kieszeni kurtki, po czym zarzuciła sobie na ramię drugą torbę. Wydobyła z niej inny gadżet, dużo mniejszy, wyposażony wyłącznie w niewielką diodę. Włączyła go, sprawdziła, że zapas energii jest wystarczająco duży, wyłączyła i schowała do drugiej kieszeni.

Oboje ruszyli powoli w kierunku płaskowyzu, wspięli się nań i powędrowali na północ, na jego przeciwległy kraniec. Teren był zupełnie płaski, porośnięty trawą i niewielkimi krzakami, bezdrzewny. Widać było, że nikt tutaj niczego nie poprawia ani nie kontroluje, wszystko, co się pleniło, było samosiejkami.

– Naprawdę nie można było narznąć więcej tych czujników? – odezwał się Makłałd. – Wiesz, ile

będzie pieprzenia z lokalizowaniem i przerzucaniem ich teraz do drugiej sieci?

– Iloczyn czasu, kosztów podzespołów i tempa pracy Wiktora – wzruszyła ramionami Karolina. – Nasze wstępne estymaty przewidywanych ilości plus stosownych zapasów były całkiem niezłe, zmieścilibyśmy się prawie idealnie. Dopóki Oswaldo nie dorzucił wymogu komunikacji w obie strony. Nawiasem, to był bardzo dobry pomysł, ale jednak sieć się przez to znacząco rozrosła i kołderka zrobiła się za krótka.

– Cykor. A wcześniej tak strasznie rumakował, że wejdzie tam na ślepo, że się nie boi.

– Zmienił zdanie. Pomysł miał całkiem niezły, nawiasem mówiąc.

– To strasznie fajnie, że ci się podoba, ale może trzeba było terminy w takim razie przesunąć, gdy po uwzględnieniu tych zmian w modelu i wydrożdżowaniu "Miriam" sieć się rozlazła gdzie popadło, i dorobić wszystko po bożemu.

– Nie wcyrklowalibyśmy wtedy we właściwy tydzień.

– Jakby inny tydzień był zły.

– Byłeś przy tej rozmowie i widziałeś, jak się argumenty odbijają od tego człowieka, co ci mam powiedzieć?

– Wiktor też jest niezły. Jak się te nietypowe zawijasy porobiły z mózgowia na obrzeżach sieci, to się uparł, że to koniecznie trzeba opomiarować, ale już dodatkowych czujniczków dziergać mu się nie chciało.

– A po co? Sieć "Lotto" jest teraz kompletnie zbędna. Możemy z niej szabrować, ile wlezie.

– A po to, że plecy mi mało od tego poprzedniego montażu nie jebły – mruknął Makłałd, rozglądając się. Minęli biegnącą z zachodu na wschód w poprzek terenu białą linię uformowaną z usypanej na trawie kredy, prostą jakby kreśloną od linijki. Chwilę później minęli następną, która na prawo od nich skręcała pod kątem prostym na północ. Odbili nieco w lewo i dotarli do następnej, równoległej. Przecięli ją, by po nieco krótszej chwili dotrzeć do kolejnej. Ruszyli wzdłuż niej aż do końca płaskowyzu, gdzie się urywała.

Karolina wydobyła obydwie urządzenie nawigacyjne. Makłałd wyjął z kieszeni spodni złożoną wielokrotnie kartkę formatu A4. Rozłożył ją, rozprostował rogi, wygładził ślady po zagięciach i

stał obok Karoliny. Mniej więcej dwie trzecie powierzchni kartki zajmował narysowany długopisem duży kwadrat oznaczony wielką literą A. Powyżej niego, na pozostałej powierzchni, z zachowaniem dwucentymetrowego odstępu zostały wyrysowane: kwadrat w lewym górnym rogu, oznaczony wielką literą L, kwadrat w prawym górnym rogu oznaczony literą B, a pomiędzy nimi w poprzek biegł prostokąt oznaczony literą M. Wszystkie figury oddzielał również odstęp dwóch centymetrów. We wszystkich narożnikach każdego z czworoboków widać było pisane maczkiem, objęte nawiasami pary liczb z ułamkami dziesiętnymi po kropce.

Karolina sprawdziła koordynaty wyświetlone na ekranie i porównała je z treścią mapki. Zrobiła przed siebie, wzdłuż białej linii na trawie pięć kroków. Ponownie sprawdziła koordynaty.

– Jestem na pozycji – oznajmiła. Schowała urządzenie do kieszeni, wydobyła następne. Makłał stanął tuż obok. Nacisnęła kciukiem czarny przycisk, odnotowując, że dioda mrugała teraz na czerwono, i zaczęła się powolutku kręcić wokół własnej osi, potem schylać się i obniżać. Kolor diody zmienił się na żółty. Zrobiła krok przed siebie, obniżyła jeszcze bardziej. Dioda zazieleniła się.

Makłał podszedł bliżej, włożył na prawą dłoń ogrodniczą rękawiczkę, kucnął, przeczesał palcami trawnik.

– Jest – oznajmił.

Wydobył z ziemi niewidoczną dotąd z zewnątrz plastikową kostkę rozmiaru śliwki z przytwierdzonym do niej długim na kilkadziesiąt centymetrów

szpikulcem z nierdzewnej stali. Oczyszczył ją z resztek ziemi.

– Będziemy ją znakować inaczej? – zapytał, przecierając kciukiem kawałek przeźroczystej taśmy klejącej, pod którą widać było oznaczenie L625.

– Nie trzeba. – Karolina pokręciła głową. – Zmienię etykietkę w systemie na sygnaturkę M, ale nie będziemy się tu teraz chrzanić ze zrywaniem naklejek.

– No nie zamierzałem tego robić – prychnął Maklałd – bo byśmy do jutra nie skończyli. Myślałem, żeby mazaczkiem tu litery nadpisać.

– Bez sensu. Sieć "Miriam" już jest pokryta siedmiuset pięćdziesięcioma swoimi czujnikami, numery i tak się powtórzą. To nawet lepiej, że będą

miały inne oznaczenie, nawet jeśli literka się nie zgodzi. Nikogo szlag z tego powodu nie trafi.

– Wiktor może marudzić.

– Nie, nie będziemy tego robić – oświadczyła Karolina stanowczo. – Niech mi wypłacze jeziorko, jeśli chce. Idziemy dalej. Musimy wyjąć dwieście tych szpilek, a potem je dokładnie nazad powsadzać. Szkoda tracić czas.

– No to super. – Makłał umieścił wydobyte urządzenie w torbie i ruszył dalej.

Następną namierzili już łatwiej, odliczając krokami dwa metry i posiłkując się czujnikiem, który prawie od razu się zazielenił. Makłał wydobył z ziemi szpikulcowaty skaner, oczyścił go i umieścił na dnie torby tuż obok, kładąc plastikową kostkę przy czubku szpilki poprzedniego, naprzemiennie jak

sardynki w konserwie. Każdą kolejną umieszczał w ten metodyczny sposób, aż wyczerpał powierzchnię. Wtedy zaczął kolejną warstwę.

W końcu odstawił zapełnioną torbę, przejął od Karoliny drugą – i kontynuowali.

Gdy dotarli do czujnika numer L426, Maklaǳ wsunął go do torby, odstawił ją, po czym wyprostował plecy.

– Trzeba było wziąć ze sobą taką babciną torbę na wózek – mruknął. – Jak do zakupów.

– Dobry pomysł. Przyda się następnym razem.

– Jakim, do cholery, następnym razem?

– Tak mi się tylko powiedziało.

– To może mów co innego.

Zebrali torby i ruszyli na wchód, minęli białą linię i po chwili dotarli do następnej.

– Montujemy od krawędzi?

– Nie – Karolina pokręciła głową. – Musimy zacząć tam, gdzie się urwało. Łatwo znajdziemy, bo ślady po poprzedniej białej linii jeszcze tam są.

– Czysty fuks, że był margines miejsca.

– Prawie. "Burzę" wyhodowaliśmy w kąciku, bo się okazało, że będzie nieduża. "Miriam" puściliśmy w jej kierunku z najdalszej lokalizacji, jakiej się tylko dało. Gdyby nie to, pewnie zbełtalibyśmy obie i oba kwadranty trzeba by spisać na straty. Czekaaj, znajdę to miejsce.

Wyjęła nawigator i powtórzyła znaną już procedurę, wyznaczając precyzyjnie właściwą

lokalizację. Makłał sięgnął do torby po pierwszy ze skanerów, wbił jego szpikulec w grunt, opierając się na gałce obudowy wyprostowaną ręką i wykorzystując ciężar ciała wcisnął go w glebę, po czym ostrożnie dopchnął główkę obcasem, aż cała schowała się w trawie.

Telefon zaczął mu w kieszeni. Wydobył go, kliknął, żeby odsłuchać przesłaną komunikatorem wiadomość.

– No jak idzie? Ja już jestem na miejscu.
Wszystko planowo?

– Wszystko planowo, właśnie zaczynamy sadzenie – wyrecytował do mikrofonu, trzymając kciuk na ekranie, na przycisku nagrywania. – Na razie bez opóźnień.

Rozpoczęli mozolny, odwrotny proces. Karolina odmierzała nawigacją i krokami każdy kolejny punkt, Makłałd umieszczał tam skaner, ona potwierdzała, że nowo osadzone urządzenie działa, korzystając z czytnika z diodą. I szli dalej w skupieniu i w milczeniu.

Wreszcie torby zostały opróżnione. Makłałd przeciągnął się, aż mu stawy zachrzęściły.

– Jaki mamy czas? – zapytał.

– Zostało jeszcze dwadzieścia minut.

– No to cyk. – Zarzucił na ramię obie torby i ruszył z powrotem. Dotarli do ciężarówki. Makłałd wydobył kołowrót z kablem i ponownie ruszył w stronę zbocza. Dotarł do miejsca, gdzie poprzednio mocował grot, po czym przesunął się o dziesięć kroków na prawo. Namacał ręką trawę i wyczuł

kolejną klamkę. Pociągnął, otworzył drzwiczki i odsłonił następną wnękę, niemalże identyczną jak poprzednia, z tą tylko różnicą, że substancja wewnątrz betonowej cembrowiny miała czerwony odcień.

Wcisnął w nią grot kabla, zamocował go na drzwiczkach, które unieruchomił hakiem – i wrócił do szoferki. Wyjął swojego laptopa, założył słuchawki.

– Wczep zabezpieczony – oznajmił. – Możemy zaczynać.

– Wiktor, jesteś? Dawaj pięć procent mocy – usłyszał w słuchawce głos Karoliny.

– Robi się.

Zaobserwowali aktywizację sieci w prawym górnym rogu, oznaczoną literą B. Znowu na mapce pojawiły się esy-floresy, znowu wykwitła płatanina

cienkich jak włos kresek. Znowu zgłosiły się wszystkie skanery.

– Wszystko w porządku – oznajmiła Karolina, patrząc na wykresy i logi widoczne na panelach rozwieszonych na ścianie paki. Wstała energicznie i zaczęła się przeciskać przez wąskie drzwiczki do wnętrza szoferki. Makłałd otworzył drzwi i wysiadł, chroniąc łokciem laptopa. Karolina wysiadła w ślad za nim, zamknęła drzwi. Oboje szybko przeszli do drugiego domu, tego położonego dalej od ciężarówki. Weszli do środka, wmaszerowali do zapuszczonego, zakurzonego salonu, śmierdzącego stęchlizną i grzybem.

Usiedli na kanapie vis-à-vis ściany obitej grubą warstwą lśniącej blachy.

– Wiktor, jesteśmy już za ekranem – powiedział Makłałd. – Dawaj pełną moc.

– Odpalam.

Makłałd kliknął w link, otworzył na tabie podgląd kamery spod sufitu paki ciężarówki.

– Jest trzydzieści procent.

– Wygląda zdrowo – oznajmił Makłałd.

– Trzeba było zmontować to cholerstwo tutaj – stwierdziła Karolina.

– I zostawić urządzenie poza kontrolą w tej ruderze? – mruknął Wiktor. – Świetny pomysł. I co jeszcze? Siedemdziesiąt pięć procent.

– Wygląda zdrowo.

– Tamtędy płynie prąd, nie płonąca ropa –
mruknęła Karolina. – Co ty tam chcesz widzieć?

– Jesteś dzisiaj wyjątkowo marudna.

– Zawsze jestem marudna.

– Dlatego nie powiedziałem, że jesteś dzisiaj
marudna, tylko że jesteś wyjątkowo marudna.
Rozumiesz, tak ponad normę. Osiemdziesiąt pięć
procent.

– Mam nadzieję, że to nie przez stres –
powiedział Wiktor.

– Nie, nie, to raczej przez perfekcjonizm –
zaoponował Makłałd.

– Jest sto procent – powiedziała Karolina,
patrząc mu przez ramię na ekran laptopa.

– Kondensatory na pełnej mocy – oznajmił Wiktor.

– Jarzy się jak choinka – mruknął Makłałd, przełączywszy się na podgląd mapki. Prawy górny narożnik wypełniły dodatkowe wiązki kresek, pulsujących, rozjaśniających się i blednących. Stopniowo pojawiały się następne i następne.

– Penetracja skanerów płynna – stwierdziła Karolina. – Przyrost wykrytych wiązek liniowy.

– Dobra, jest kumulacja – oświadczył Wiktor. – Probabilizacja w toku.

– Scenariusz był wyestymowany na pół minuty ładowania – powiedziała Karolina. – Minęło dwanaście sekund... Osiemnaście... Dwadzieścia pięć...

– Dobra, wyłączam – oznajmił Wiktor.

– Jest inkubacja – powiedziała Karolina.

– Jakiś gwiaździsty wzorec tym razem –
powiedział Makłałd, wskazując palcem. – Jesteście
pewni, że to nic nie znaczy?

– To, w jaki kształt wydrożdżowała sieć?

– To, to wiem, że jest ważne – prychnął. –
Chodzi mi o te spontaniczne przebicia.

– Nie, nie są. Nie wiem.

– Aha.

– Dobra, jest wyżarzanie – oznajmił Wiktor. –
Probabilizacja zamknięta. Teraz pozostaje czekać.
Możecie wracać. Odłączcie zasilanie i od razu
przepnijcie je do sieci "Miriam".

– Dobra.

Wstali z kanapy i wyszli z domu. Maklałd powędrował wzdłuż kabla do miejsca, gdzie był on wpięty w zbocze, odłączył go, zamknął drzwiczki, a następnie zamontował w trzeciej niszy, wygrzebanej pięć kroków na lewo, pomiędzy dwoma poprzednimi, wciskając go w środek cembrowiny zawierającej substancję koloru żółtego.

Dołączył szybko do Karoliny w ciężarówce.